Rok I. Lwów, 1. Grudnia 1899. Nr. 11—12.

PROMIEŃ

PISMO POŚW ONE SPRAWOM MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

Wychodzi raz na miesiąc.

Prenumerata wynosi:
rocznie złr. 1.60, z przesyłką 1.84 — kwartalnie 40 ct., z przesyłką 46 ct. — Numer pojedynczy 18 ct. na prowincyi 20 ct. — W zaborze pruskim i w Niemczech rocznie 3 marki 40 fen. — W zaborze rosyjskim 4 ruble. — W innych krajach należących do związku pocztowego rocznie 4 franki 20 centimów.

Adres Redakcyi: Lwów, ulica Zygmuntowska l. 12A. Filia administracyi w Krakowie przy ulicy św. Anny 3.

„Młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały“. — Krasiński.

Ze względów technicznych wydajemy Numer ten podwójny w objętości 32 str., jako ostatni w roku bieżącym.

Nasz bilans roczny.

Zamykając numerem niniejszym pierwszy rocznik „Promienia“, chcielibyśmy rzucić okiem na przebytą drogę, podsumować niejako rezultaty swej działalności. Z góry powiemy, że nie żywimy żadnych złudzeń — w ciągu *jednego* roku niepodobna było wiele zrobić. Pracowaliśmy na niwie zachwaszczonej — byliśmy pionierami, którzy wykonać muszą siła robót przygotowawczych, a plonów nierychło spodziewać się mogą. A choć do dzieła przystępowaliśmy z dobrą wolą i z zapałem, to wszakże siły nasze były słabe. Bardzo niewielu mieliśmy współpracowników z poza grona młodzieży akademickiej i szkolnej, a żeśmy w pieniądze nie opływali, o tem żaden galicyanin wątpić chyba nie będzie. Bez fałszywego wstydu wyznamy, że, kształcąc innych, samiśmy się kształcili, że w ciągu tego roku niejednegośmy się nauczyli, że dziś zapewne dokładniej zdajemy sobie sprawę ze swoich zadań, niż na początku roboty. Bośmy się do rzeczy brali nie jako zaufani w swą wszechwiedzę augurowie, ale jako skromni pracownicy, wyrabiający w sobie dopiero ściślej określone poglądy. To pewna wszakże, że my i pismo nasze nie zejdziemy z raz obranej drogi: jeżeliśmy się rozwijali, to pędem raz obranego kierunku; zasady nasze nie zmieniały się i nie zmienią, tylko krzepły i hartowały się — a i nadal — sądzimy — jeno na wyrazistości i pogłębieniu zyskiwać będą. Myśli przewodnie, wyrażone w N-rze 1-ym w słowie wstępnem, i nadal pozostają więc naszym programem. Czytelnicy przekonają się, że, wsparci o dotychczasową swą działalność, myśli te tem śmielej i energiczniej rozwijać będziemy. Zwłaszcza pogłębimy i rozszerzymy w „Promieniu“ rolę czynnika *społecznego*. Nigdyśmy idei i uczuć społeczno-demokratycznych od polityczno-narodowych nie oddzielali;

Skonfiskowano.

Skonfiskowano.

Wróćmy jeszcze na chwilę do oceny rezultatów swojej pracy. Ocena ta i z tego względu jest trudna, że mamy tu do czynienia z wpływami duchowymi, nie podlegającymi wadze ani mierze. Jak dokładnie ocenić, w ilu sercach słowa nasze sympatyczny znalazły oddźwięk, ile ziaru, przez nas rzuconych, padło na urodzajną glebę, jakie z tego siewu będzie żniwo?

W każdym razie zaznaczamy z radością, że grono naszych współpracowników rozszerzyło się — że wielu kolegów korespondowało z nami i zwracało się do nas z pytaniami w różnych sprawach — że liczba prenumeratorów naszych, choć jeszcze szczupła, powiększała się stale — że (co do rzeczy najważniejszych należy) w ostatnich czasach pismo nasze przeniknęło do zaboru pruskiego i rosyjskiego. Koledzy w zab. ros. okazali nam nawet czynną pomoc, za którą im tu serdeczną wdzięczność wyrażamy. Mamy uzasadnioną nadzieję, że wkrótce stosunki nasze rozszerzą się jeszcze bardziej i że będziemy mogli powiedzieć ze słuszną dumą: pismo nasze nie tylko w celach swoich, ale i de facto, w sposób, że tak rzekniemy, ulegalizowany jest organem *młodzieży polskiej z trzech zaborów*.

Jeśli teraz przejdziemy do treści pisma naszego, to i tu przedewszystkiem wyznamy, że czujemy wszystkie jej braki. Chcielibyśmy, żeby sympatyzujący z nami czytelnik powiedział o pierwszym roczniku „Promienia“: dobry jest. Wszakże słuszne jest przysłowie francuzkie: le mieux tue le bien (lepsze zabija dobje). Będziemy się starali, aby „Promień“ był coraz lepszy, aby treść jego urozmaicała się i doskonaliła. Zwłaszcza zwracać będziemy uwagę na dwa działy, trochę w 1-ym roczniku „Promienia“ zaniedbane: na artykuły treści ekonomiczno-społecznej i na dział korespondencyj ze wszystkich dzielnic Polski.

Jak przystoi pismu, poświęconemu sprawom młodzieży szkolnej, baczną i ciągłą uwagę zwracaliśmy na sprawy szkolne. Art. o „Internatach w Królestwie“ (którego dokończenie czytelnik, z powodów od redakcyi niezależnych, znajdzie dopiero w Nrze styczniowym) jest początkiem szeregu prac o stosunkach szkolnych w zaborze rosyjskim. Ale zrozumiała jest rzeczą, że pismo, wychodzące w Galicyi, przedewszystkiem musiało zwrócić uwagę na stosunki szkolne, w tej dzielnicy panujące. W każdym N-rze „Promienia“ czytelnik znajdował obfity materyał, krytycznie te sprawy oświetlający. Nie nasza wina, że nie wiele pocieszającego z dziedziny tej mieliśmy do zanotowania, że daleko, daleko częściej musieliśmy ostro krytykować, niż chwalić. Nie nasza to wina,

lecz smutnych nad wyraz stosunków, do których poprawy gorąco pragnęlibyśmy się przyczynić.

Samokształcenie uważamy za bardzo ważny czynnik w rozwoju każdej jednostki, która chce nabyć rzetelnej oświaty i stanąć na poziomie wiedzy współczesnej. To też poświęciliśmy kilka artykułów temu przedmiotowi; mówiliśmy i o ogólnem znaczeniu oraz celach samokształcenia, i o klasyfikacyi wiedzy dla potrzeb samokształcenia; daliśmy wskazówki dla samouków, tyczące się beletrystyki i logiki. Dział ten i nadal w „Promieniu“ zatrzyma należne mu miejsce.

Nie potrzebujemy chyba przypominać czytelnikowi, jak troskliwą uwagę poświęcaliśmy sprawom narodowym. Ten dział w „Promieniu“ naczelne zajmował miejsce, a nawet trudno tu mówić o osobnym dziale, bo uczucie i myśl narodowa, jak w życiu, tak i w „Promieniu“ przenikały wszystkie działy. Występując gorąco w imię ideałów narodowych, nigdyśmy nie uprawiali krzykliwego szowinizmu, — nie prowadziliśmy polityki antiruskiej lub antisemickiej. Przeciwnie, całą sympatyę mieliśmy dla dążeń rusinów do samodzielnego rozwoju narodowego, podnosiliśmy dziejące się rusinom krzywdy, staraliśmy się zapoznać młodzież polską z literaturą ruską. Wogóle pracowaliśmy w duchu zbliżenia się i porozumienia dwu narodowości, na jednej mieszkających ziemi. Co do żydów, to wystąpiliśmy stanowczo zarówno przeciwko antysemityzmowi, jak syonizmowi. Żydzi powinni przejąć się duchem obywatelskim, pracować dla kraju, w którym mieszkają oni, w którym ich potomkowie mieszkać będą. A żydzi inteligentni, przejęci duchem postępu, muszą rozumieć, że postęp odbywa się w formach narodowych i że u nas nie może być postępu bez idei narodowej polskiej.

Dział beletrystyczny, tak ważny w każdem piśmie, stale nas zaprzątał. Daliśmy w „Promieniu“ oceny wybitniejszych zjawisk literackich ostatnich czasów, podnosząc zwłaszcza zawarte w nich idee społeczno-polityczne. Umieszczając wiersze i nowele, nie kierowaliśmy się żadną ciasną doktryną: zwracaliśmy tylko zawsze uwagę zarówno na piękność formy, jak i na wartość ideową utworu. Bo modne dzisiaj teorye literatury egotycznej, dekadenckiej itp. nie miały w nas zwolenników. Zgodnie z najlepszemi naszemi tradycyami literackiemi, uważamy literaturę za nader ważny czynnik życia narodowego: więc nie wolno jej się od życia tego usuwać, nie dbać o cierpienia i zabiegi tłumów, — owszem powinna jak najbardziej przeniknąć się żywiołem społeczno-narodowym.

Na tem kończymy — bo nie chodziło nam o wyczerpujące przedstawienie treści całej „Promienia“, lecz jedynie o podniesienie najważniejszych punktów wytycznych. A teraz, u progu Nowego Roku, wzywamy Was, koledzy, do dalszej wspólnej pracy w imię wspólnych ideałów. Niech jak najprędzej Nowy rok przyjdzie — Nowy Rok dla uciemiężonych i cierpiących!

Edmund de Amicis.

O kwestyi społecznej.

Mowa, wygłoszona na zebraniu słuchaczów uniwersytetu w Turynie r. 1892).

(Dokończenie).

Tysiące objawów i następstw owego wahania się i niezdecydowania spotykamy na każdym szczeblu drabiny społecznej; począwszy od nauczyciela, będącego w kłopocie, jak wytłómaczyć dzieciom przyczynę tych potwornych anomalii społecznych, których nie można już teraz pokryć płaszczykiem starych sofizmatów, aż do sędziego, nie mogącego zabronić oskarżonemu prostakowi wytłómaczenia zasad, które sam w dziele jednego z senatorów państwa wyczytał; począwszy od burżuazyjnego autora, który nie może już pisać dla ludu nie zbaczając w różne strony, dla obejścia owej wielkiej, na każdym kroku napotykanej, ominąć się nie dającej kwestyi, która jemu samemu wszystkie zasady patryotyzmu i moralności w głowie zamąca; a skończywszy na rzecznikach hygieny publicznej i urzędowych kierownikach oświaty ludowej, którzy widzą ze zwątpieniem, że praca ich idzie na marne, bo zawsze i wszędzie rozbija się o żelazną barjerę nędzy i twarde mury istniejącego porządku społecznego. Opozycya przeciw nowym ideom cofa się coraz bardziej z dziedziny sumienia w dziedzinę osobistych interesów, skutkiem czego może być jeszcze stanowcza i straszna, ale już nie ma w sobie tych wielkich, wspaniale pięknych namiętno-

ści, wobec których gwałtowność przeciwników nieraz upada i przechodzi w zwątpienie. Dlatego też napastnicy, którzy wczoraj jeszcze szli powoli, dziś przyspieszają kroku, a jutro pędzić będą niczem nie powstrzymanym biegiem. Nie ma mowy o tem, by spory i rozłamy, panujące w szeregach socyalistycznych, tamowały postęp ruchu. Bo — jak to zauważono — wszystkie teorye i sposoby rozumienia socyalizmu, widziane z perspektywy, począwszy od państwowego socyalizmu profesora niemieckiego, aż do sielankowego komunizmu powieściopisarza rosyjskiego nie przeczą sobie nawzajem. Przedstawiają raczej odrębne plany bardzo obszernej panoramy, albo raczej następujące po sobie formy lub próby urzeczywistnienia jednej i tejsamej idei. Bo obrońcy kolektywizmu, apostołowie społeczności bez państwa, socyalistyczni kapłani katolickiego lub protestanckiego kościoła, wszyscy oni są w porozumieniu ze sobą mimo, że każdy z nich projektuje inne reformy i zatrzymuje się przy innych celach, prawie wszyscy równie gwałtowni w krytyce istniejących stosunków; wszyscy przyczyniają się bezwiednie lub umyślnie do wywołania tego samego skutku; wszyscy przygotowują i prą masy ku wielkiej rewolucyi; wszyscy, czy to wznoszą w górę biblię, czy też dzieło Marksa, czy pochodnię — pracują około rozszerzenia i przyspieszenia ruchu, któremu podobnego odnaleść nie możemy, chyba — jakto się wyraziło pewne zachowawcze pismo angielskie — zwrócićbyśmy się musieli do pierwszych czasów chrześciaństwa lub upadku cesarstwa rzymskiego.

Inni, uznający ważność ruchu socyalistycznego w Europie, mówią wam: Nie troszczcie się o to, nasz kraj leży poza obrębem ruchu; i powtarzają słowa znakomitego myśliciela, który zeszłego roku wyraził się w parlamencie, że skutkiem szczególniejszych stosunków i usposobienia ludności włoskiej, miną wieki, zanim socyalizm zakorzeni się pomiędzy nami. Tym również nie wierzcie.

Zdawaćby się mogło, słysząc ich że, Włochy otoczone są murem chińskim i że socyalizm teoretyczny i popularny, który się do nas w kilku ostatnich latach z zewnątrz przedostał, zaprzestanie napływać dalej temi samemi drogami, któremi dotąd przybywał, i wsiąkać w nasze umysły!

Prawda to, że kwestya społeczna we Włoszech jest przedewszystkiem kwestyą rolną, podobnie jak u naszych sąsiadów na wschodzie, i że skutkiem tego i skutkiem innych jeszcze warunków nie jest ona u nas zupełnie tej samej natury jak w innych krajach, co jednak jej ważności i parcia wcale nie zmniejsza.

Zapewne, że jesteśmy mniej od innych narodów przygotowani do przyjęcia socyalizmu, bo oświata naszego ludu stoi na niższym stopniu, niż gdzieindziej, bo wielki przemysł zaledwie zaczyna się rozwijać, bo — przyznają to socyaliści sami — klasa najemników w jednej połowie kraju nie istnieje wcale, a w drugiej zaledwie że powstała. Nie trzeba jednak myśleć, że armia nie istnieje, teśli rozproszona jest gromadami, że brak organizacyi oznacza brak materyału, a brak, lub niedostateczne sformułowanie idei świadczyć może o braku dążeń. Przeciwnie, w naszych właśnie stosunkach powinniśmy największe dostrzegać niebezpieczeństwo, bo jestto już dawno znanym pewnikiem, że ogólne społeczne i ekonomiczne prawdy znajdują się w fazie instynktowej intuicyi nawet w duszy najmniej wykształconego człowieka i dlatego nawet najciemniejsza część proletaryatu włoskiego pojmuje je, chociaż niejasno i bezładnie. Lecz idee posiane w nieoświeconych a wrażliwych umysłach przekształcają się w dzikie pomysły i mgliste chimery, a u nas zwłaszcza tem więcej jest zuchwałości w teoryach, im mniej ludzi prawdziwie zdolnych do ich urzeczywistnienia. Wobec tego nie powinniśmy się cieszyć na widok ruch powstrzymującej ciemnoty i braku talentu organizacyjnego; owszem smucić nas to powinno, bo właśnie nieład i nieświadomość buntują masy; bo gdzie brak przeświadczenia o własnych siłach i pewnem jutrze, tam niema hamulca dla szalejących żądz, niema zadowolenia, jakie robotnikom innych krajów daje trwałość organizacyi i możność mierzenia co dnia osiągniętego postępu lub doznanej porażki; a to właśnie dodaje im siły do czekania ze spokojem i przygotowania się w skupieniu. Robotnicy owi nie myślą o użyciu gwałtownych środków właśnie dlatego, że wokoło nich istnieją ludzie wykształceni, którzy studyują i dociekają przyczyn zła, widzą wszystkie trudności rozwiązania kwestyi społecznej i nie twierdzą, że możnaby ją jednem cięciem rozstrzygnąć, i dlatego jeszcze, że w krajach owych

wyższe klasy nie odnoszą się do robotników — jak u nas — z bezrozumną i drażniącą obojętnością lub nieprzyjaźnią.

Zaprawdę, na miejscu nawet największego egoisty i najbardziej trwożliwego zacofańca, życzyłbym sobie, żeby nasz proletaryat przebiedz mógł w jednym roku drogę lat trzydziestu i w stanie był osiągnąć od razu ten stopień dojrzałości obywatelskiej, na którym stoją już proletaryusze Niemiec i Belgii; życzyłbym sobie tego, bo tylko taki stan rzeczy dałby mi pewność, że nieuniknione przesunięcie się społecznego środka ciężkości z klas wyższych do niższych odbędzie się bez fatalnego wstrząśnienia.

Chciałbym być o niejednej najświętszej prawdzie tak głęboko przeświadczony, jak o tej: że każdy wykształcony włoski młodzieniec wykonywa dzieło święte i dobre dla wszystkich, jeśli, jakikolwiek będzie jego pogląd na istotę i przyszłość socyalizmu, studyuje z miłością przyczyny zjawisk społecznych i w przyszłość zwrócone dążenia, jeżeli stara się wyjaśnić je ludowi, omówić je z nim, uczynić je dla niego zrozumiałemi; jeżeli usiłuje dalej pozbawić go niebezpiecznych iluzyj, zachęcić, pomódz mu w uświadomieniu się i zorganizowaniu; jeżeli pracuje celem doprowadzenia ludu do tego stopnia dojrzałości, aby, gdy przyjdzie dzień, zdolny był rozumnie osiągnąć możliwie największą część swoich dążeń. Dlatego też zamiast powiedzieć wam: nie dotykajcie kwestyi społecznej, bo Włochami jesteście, powiem wam: przeciwnie, zajmujcie się nią tembardziej, że jesteście Włochami; czyńcie wszystko, co tylko jest w waszej mocy, by lud nasz nie został zbyt daleko za innymi na tej drodze, bo w takim razie, w chwili gdy inne narody zobaczy blisko celu, opanować go może pokusa dogonienia ich jednym gwałtownym zamachem, mogącym wtrącić go w przepaść, do której i Wy byście pociągnięci zostali.

Stańcie na jego czele i po jego stronie, zamiast tamować mu drogę lub puścić go samopas na los instynktu i przypadku, a przyjdzie czas, gdy dziękować i błogosławić was będą ci nawet, którzy was dziś prośbą i groźbą do usunięcia się nakłaniają. Wszyscy zachęcają Was jednogłośnie do miłości i pracy dla ojczyzny; lecz tylko w powyższy sposób pracując, okażecie jej prawdziwą miłość i służyć jej będziecie rozumnie; bo ojczyzna to nietylko ziemia, historya i sztandar, ojczyzna to ciało ludzkie i krew; szczęście ludu góruje nad potęgą państwa, a sprawiedliwość wyższa jest od sławy.

Oto jeszcze brzmi tysiącogłosy chór, który do was woła: Ominięcie tę drogę, wyleczenie chorób społecznych jest utopią; ale pytam was, czyż dzieje ludzkości nie odjęły siły temu nieszczęsnemu słowu, czyż nie zadały mu kłamu, ilekroć ten pusty wyraz, tak wygodny dla opieszałości duchowej, tak potrzebny zagrożonym interesom, tak nadużywany przez wszelką nieumiejętność i trwożliwość — służył do ośmieszania i zwalczania najsławniejszych zdobyczy ducha ludzkiego.

Wszyscy znacie burzliwą noc Innominata*), który w chwili gdy chce sobie życie odebrać dla uwolnienia się od szarpiących nim wyrzutów sumienia, pyta sam siebie: — cóż czynię? pocóż umieram? jeżeli to przyszłe życie, o którem mi w dzieciństwie opowiadano, o którem ciągle jeszcze mówią jako o rzeczy pewnej, — wcale nie istnieje? jeśli jest ono czczym wymysłem? co komu zależy na tem, że zawiniłem?... Popełniam szaleństwo! Ale wnet nasuwa mu się myśl przerażająca: A jeśli to przyszłe życie rzeczywiście istnieje? Przypominacie sobie zapewne, co się z nim dzieje wobec tej wątpliwości. Podobna rozterka powstaje w duszy tego, który jest przejęty nowemi ideami. Pyta on sam siebie: cóż zależy mi na tem, co czynię, jeśli owa, przez tylu za pewnik uważana możliwość zmniejszenia bolów ludzkości, przyczynienia się do tryumfu idei braterstwa i sprawiedliwości jest utopią, snem olśnionych filantropów? jeśli ma słuszność ów angielski proboszcz, zamykający los ludzkości między dwie formułki matematyczne?**); pocóż wówczas, miast myśleć o własnych interesach i żyć szczęśliwie — zwalczać mam przywileje, z którymi mi dobrze? poco mam zniechęcać ku sobie tę klasę społeczną, wśród której się urodziłem? poco mam sobie drę-

*) Bezimienny, osobistość z „Promessi Sposi“ Manzoniego.

**) Malthus, który dowodził, że, podczas gdy środki żywności wzrastają w postępie arytmetycznym (1. 2. 3. 4. itd.). ludność dąży do powiększania się w postępie geometrycznym (1. 2. 4. 8. i t. d.).

czyć serce i mózg złem, przeciwko któremu nie ma lekarstwa?... Zaiste byłoby to szaleństwem z mej strony! Lecz zaraz inna myśl zaczyna mu świtać: a jeśliby reforma stosunków przecież nie była utopią? I przestrach go ogarnia... jeśli ona utopią nie jest? Utopią można przecież nazwać każdą ideę w chwili, kiedy nie można jej jeszcze urzeczywistnić — a któraż to wielka prawda społeczna, została wpierw udowodnioną, niż przyjętą? A zgodność wielu wierzących w możliwość jej urzeczywistnienia nie jestże pierwszym warunkiem wykonalności każdej idei? O! gdyby istniało lekarstwo na ten porządek społeczny, który, bogactwo wyciska z krwi i kości tysięcy, skazuje człowieka na pracę godną bydlęcia — nie urozmaiconą przyjemnością, ani jakąkolwiek rozkoszą umysłu, nie opromienioną nadzieją lepszego losu! Gdyby istniało lekarstwo na ten porządek, który podminowuje miliony rodzin i miliony domostw przekształca w piekło, który wyzyskuje i uciska kobietę, demoralizuje i do skarłowacenia doprowadza dziecko; gdyby był środek na te stosunki, które równocześnie zmuszają jedną część robotników do nadludzkiego wysiłku, a drugą — do przymusowego próżniactwa i głodu, połowę zaś z tych, którzy daremnie walczyli, by się dźwignąć, skierowują do żebractwa, prostytucyi i zbrodni; gdyby było lekarstwo na rozpaczliwy podział świata, wywołujący u dołu nienawiść — a u góry przerażenie, upodabniający społeczeństwo dzisiejsze do średniowiecznego zamku, w którym rodziny możnych przebiegał wśród uczty dreszcz przerażenia na odgłos westchnień i przekleństw więźniów, pogrzebanych pod ich nogami: słowem, jeżeliby istniało lekarstwo na ten ogrom zła — jakimże byłbym człowiekiem, gdybym się nie troszczył o zastosowanie tego lekarstwa, gdybym nie dokładał starań dla zmniejszenia dzisiejszej nędzy; gdybym nadto przyczyniał się, choć bezwiednie, do jej wzrostu, wznosił na niej gmach osobistego szczęścia? Jakimże czołem mógłbym wówczas rozprawiać o postępie, braterstwie, cywilizacyi i ojczyźnie? Gdyby nawet to odnowienie społeczeństwa, o którem nam mówią, było rzeczywiście utopią, gdyby była w tych dążeniach tylko mała część zdrowych idei i uzasadnionych nadziei — czyż nie powinienbym poświęcić wszystkich swoich sił dla urzeczywistnienia choćby tej małej cząstki owej rzekomej utopii! Utopii, w której prawdziwość jednak wierzą wielkie umysły. Kilka dni temu umarł znakomity ekonomista*), obejmujący jasne i szerokie widnokręgi, który przed trzydziestu laty przeraził świat twierdzeniem, że burżuazyjne społeczeństwo upadnie, jeżeli prawo własności nie zostanie zmienione w duchu społecznym. Wczoraj pogrzebano czcigodnego kardynała Manninga, który powiedział, że nie można już nadal kroczyć po drodze wyzysku, sprzedaży siły ludzkiej i pracy, po drodze, która przekształca kobiety i dzieci w żyjące maszyny a matki i ojców w zwierzęta juczne. Niedaleko stąd spoczywa ów sławny statystyk włoski, który przepowiadał nam wojnę domową, jeśli się nie zmieni los klas pracujących, prawdopodobnie więc i on nie uważał za niepodobieństwo spełnienia powyższych nadziei. Żyje jeszcze i przebywa wśród nas ów szanowny minister Anglii, który powiedział do robotników: Staniecie się wkrótce panami świata. Wybrane i potężne duchy każdego narodu badają ze zdumiewającą wytrwałością i niezachwianą wiarą istotę zła i możliwe środki zaradcze, oświecają zagadnienie ze wszystkich stron i poszukują żywotnych czynników przyszłej społeczności.

Przypatrzmy się tylko, czy urządzenia społeczne udoskonalone zostały w ciągu stuleci na tyle, że w stanie są utrzymać się na długo lub na zawsze? czy niczego już w nich zmienić lub poprawić nie można, nawet na korzyść tej poważnej liczby ludzi, dla której są zawsze jeszcze nie do zniesienia? — Potwierdzająca odpowiedź byłaby w tym wypadku co najmniej dowodem wielkiej odwagi. Osądźmy sami, czy to, o czem nam mówią, w istocie jest utopią? W tym celu powtarzam raz jeszcze: zajmijcie się poważnie kwestyą społeczną, o ile tylko studya wasze na to pozwolą.

Tym z pomiędzy was, którzy nie zajmowali się dotąd bogatą i różnorodną literaturą nowych idei, bądźto dlatego, że duch ich łagodny wzdrygał się przed zaniepokojeniem sumienia, bądź też z powodu fałszywego mniemania, jakie rozsiewają ci, którym jest ono na rękę a ktore opiewa, że istota socyalistycznych pojęć właściwą jest jeno dzikim, gwałtownym, lub przeciwieństwami rozgoryczo-

*) Laveleye.

nym naturom; tym wszystkim, którzy dla jakiejkolwiek przyczyny nie starali się poznać literatury tej, powiadam: Wniknijcie w nią choćby trochę, nie zatrzymujcie się z niechęcią przed tą jej częścią, która jest oschłą wskutek mnóstwa cyfr, lub nadętą retoryką; kroczcie naprzód poprzez jej mgłę, a zobaczycie, ile poświęciło się jej dusz pięknych i szlachetnych; ilu szczęśliwych tego świata staje się jej zapalonymi bojownikami; ile zawiera ona stron silnych, jaśniejących myślą, ile innych ociekających łzami litości, pełnych miłości i najsubtelniejszych, najświętszych uczuć, znajdziecie w niej objawienie nędznych stosunków, których nie znaliście przedtem, a które przejdą wasze oczekiwania; znajdziecie w niej przykłady cnoty i bohaterstwa, które wywołają okrzyk zachwytu z waszej strony; znajdziecie w niej wzniosłe promienie nadziei, a może i marzenia, lecz marzenia tak wspaniałe i świetlane, że olśnią i wzruszą wasze dusze jakby wizyą idealnej ludzkości Chrystusa.

Tym z pośród was, którzy zajmowali się temi studyami, lecz wywody ich z góry odrzucili, powiadam: Nie ufajcie sobie samym! zróbcie jeszcze jeden wysiłek, by pójść dalej, by uwolnić się od przesądów, wśród których wy i ja wzrośliśmy, od idei, które nam narzuciło wychowanie, i od tej mocy przyzwyczajenia, która jeszcze silniejszą jest, niż ideje. Zróbcie jeszcze jeden wysiłek, by wyleczyć się z owego krótkowidztwa skutkiem którego materyalne i umysłowe interesy naszej klasy wydają nam się interesami całej społeczności; podejmijcie choćby tylko na krótko ten wysiłek, który jest ze wszystkich najtrudniejszy, bo zmienia niejako naszą istotę duchową, i najowocniejszy, bo temu, który go przebył, każda rzecz objawia się z całkiem innego punktu widzenia, bo życie ducha poczyna się dla niego na nowo i wiedzie go w nieznaną dotąd krainę. Jeśli wówczas nadal pozostaniecie przy swoich pierwotnych zasadach, to ogłoście je i walczcie o nie z odkrytą przyłbicą, bo w każdej wielkiej i otwartej walce, będziecie bardziej poważani i pożyteczniejsi jako namiętni nieprzyjaciele, niż jako nieufni, sceptyczni widzowie; lecz nie zniżajcie się nigdy do poziomu tego niezliczonego roju faryzeuszy, który kłania się z ambicyi tym, co są u góry, a ze strachu pochlebia tym, co na dole stoją; nie schodźcie do poziomu tych, którzy z fałszywą miłością zwracają się do wzgardzonego przez się tłumu, którzy jedną ręką biją się w piersi a drugą chowają sakiewkę, aby potem obie z żądaniem głosu do tłumu tego wyciągnąć.

Tym z was nareszcie, których serce już jest pozyskane i zarówno z mojem bije, posyłam uścisk braterski i pozdrowienie druha.

Obowiązkiem wszystkich jest więc przekształcenie uczuć w idee. Niechaj każda skarga ludu znajdzie odźwięk w ścisłem i wytrwałem badaniu z Waszej strony. Idźcie naprzód, nie spodziewając się ani też oczekując wdzięczności, szukajcie nagrody tylko w tem poczuciu, żeście działali sumiennie, że odtąd nie trzeba się będzie uciekać do kłamstwa, że nie będziecie zmuszeni przytłumiać głosu duszy i kryć egoizmu pod maską obłudy; a przyjdzie Wam to z większą, niż myślicie, łatwością, bo olbrzymia kwestya społeczna, która dotyka wszystkich nauk, jak mnogie kraje obejmujący ocean, ma jeszcze i tę dobrą stronę, że unicestwia swoją wielkością i olśniewa blaskiem swojego światła każdą małostkową próżność, każdy niski interes tego, który się jej oddaje. A gdy ją zgłębicie dokładnie, wówczas płomienną swą miłością obejmować będziecie nie tylko te społeczne klasy, które tego najbardziej potrzebują i najwięcej na to zasłużyły, lecz i swoją warstwę, dla której wzbudza się w waszem sercu nowy, gorący zapał; uczujecie wówczas, że powstają w was nowe zdolności i nieznane dotąd siły; w waszem szersze widnokręgi obejmującym umyśle i sercu odczuwać będziecie tętniący oddech całej ludzkości, jakby młodość drugą, ale wspanialszą i słodszą od tej, która już teraz kipi w waszych żyłach i lśni na waszych twarzach.

Znacie fantastyczny obraz Carlyla, w którym teraźniejszy świat porównany jest do dzikiego, chaotycznego stepu, okrytego dżumą ziejącemi mgłami i obciążonego ołowianą atmosferą, w której szumi potop i drgają błyskawice rewolucyi, a wśród nieprzejrzanych ciemności lśnią gdzieniegdzie fosforyczne światełka filantropii, bo gwiazd nie ma już na niebie. Czegoś brakuje temu obrazowi: oto znękany, łachmanami okryty tłum, który napełnia cały widnokrąg, zwraca się pożądliwie ku tej stronie, gdzie od świtu jaśnieje mały skrawek nieba, tłum ten wyciąga

ręce, aby powitać wschodzące słońce, które łzy jego osuszy, członki rozgrzeje, ziemię upiększy i nauczy kochać życie! O! słońce to wzejdzie! — Wierzmy w to! Obyście wy, młodzi, wschód jego obaczyć mogli, a szczęśliwy ten, który, witając pierwsze jego promienie, będzie mógł powiedzieć sobie w duszy: Pragnąłem go i oczekiwałem.

Nieco o maturze.

Kto o godzinie pierwszej przechodzi obok gimnazyów, ten spostrzeże niezawodnie, jak od tłumu uczniów, którzy swawoląc i rozmawiając wyładowują swą energię podczas pięciu pustych i nudnych godzin, oddziela się mała garstka starszych, uczniów ósmej klasy, którzy prędko dążą do domu. Ta atmosfera szkolna, która cięży na nich przedpołudniem, nie uwalnia ich nawet, kiedy wyjdą na ulicę, od swego ciężaru. Spiesznie uczeń taki połyka objad, aby módz zasiąść nad swoim stolikiem, aby gwałtem wcisnąć do swego bezkrwistego mózgu ogromną ilość dat. Z jakąś uporczywą, do głupoty prawie dochodzącą pilnością przeżuwa on przez ciągłe powtarzanie przedmioty najróżniejszych dziedzin, nie będących z sobą w żadnym związku.

Nazywa się to „kuciem do matury“, które mniej zdolni a więcej pilni uczniowie ósmej klasy w pierwszym kursie nauki rozpoczynają. Jak ogłupiająco takie kucie działa, może tylko taki powiedzieć, który był tego świadkiem. Oto schodzi się naprzykład kilku takich maturzystów w celu przerabiania materyału i zadaje sobie rozmaite krzyżowe, nieraz najdziwaczniejsze pytania jak np. z historyi: Ilu było Karolów w historyi powszechnej? albo: Co się stało w r. 1252? Chodzi mianowicie o to, aby opanować materyał historyczny, do czego mają służyć próbne pytania. Toteż nie dziw, że wskutek takiego nawału szczegółowych wiadomości, uczeń traci głowę, ciągłe „kucie“ zabija w nim energię myślową, naukę zamienia się w bezmyślne paplanie na pamięć nieraz bez zrozumienia słów, które się wymawia. Nierzadko można podsłuchać maturzystę, jak w swoim pokoiku, gdzie się uczy do matury, wypowiada z całą powagą takie zdanie: „Mikołaj Rej urodził się w r. 1505, w Żurawnie. Ojciec jego pochodził ze stanu szlacheckiego. Rok jednak urodzenia jego jest niepewny, prawdopodobnie przypada na pierwszą ćwierć wieku szesnastego.“ Cóż dopiero, gdy przyjdzie do tej sławetnej matury? Jakie tam można curiosa usłyszeć, że Schiller napisał Werthers Leiden, że dwa razy cztery jest sześć i t. d. i t. d. Przysłowie gimnazyalne tłómaczy to, powiada ono: „gada jak maturzysta.“

Kiedy się zbliża czas matury piśmiennej, odbywają się ożywione zgromadzenia, naturalnie w tajemnicy przed profesorami, gdzie chodzi o to, jakby ich możliwie najzręczniej oszukać. Tworzy się kompletne organizacye, rzuca się słowami honoru, że lepsi uczniowie będą pomagali słabszym, stara się przekupić rozmaite organa, słowem tajemna korporacya na wielką skalę, tajemna o tyle, że profesorowie o niej wiedzą i z wysokości swej patrzą się nato przez palce z pobłażliwym uśmiechem. Tradycya uświęciła już bowiem te zwyczaje. Bo spytajcie się starszych ludzi, jak to było za ich czasów podczas matury, a niejeden uczyni pogardliwy gest ręką i rzeknie: „E, mój panie, dzisiaj matura to głupstwo, za moich czasów to inaczej bywało, wtedy, panie, całe miasto było w ruchu, kiedy odbywała się matura, wtedy podawano zadania piśmienne w bułce z masłem, aby nie budzić podejrzenia, albo przez rynnę sprowadzano na sznurku do góry“. Rzeczywiście dziś jest inaczej, my jesteśmy o tyle wygodniejsi i praktyczniejsi, że nie przemycamy zadań w bułkach ani nie windujemy ich na sznurkach, ale wprost odpisujemy jedni od drugich, mimo inspekcyi profesorów.

Ale największa obawa, strach prawie towarzyszy maturze ustnej, gdzie umysł ucznia, któremu przez ośm lat pomagało się przez podpowiadanie i pozwolenie odpisywania, teraz sam bez tej pomocy ma się poddać wyrokowi sędziów.

Ten potwór straszny, ta matura unosi się ponad wszystkiem. Co drugie słowo profesora brzmi: „No, gdybyś tak przy maturze odpowiadał!“

...Egzamin dojrzałości!... Nie wchodząc tu, czy nauczyciel, opierając się na długoletniem doświadczeniu, nie mógłby lepszego wydać wyroku o dojrzałości abituryenta jak na podstawie dziesięciominutowego pytania, to tylko chciałbym zaznaczyć: Egzaminem

dojrzałości nasza matura nie jest! okazuje ona tylko, że nauczyciele potrafią z bladych i drżących młodzieńców, którzy przystępują na pół nieprzytomni, wyciągnąć przecież jakąś liczbę trafnych odpowiedzi, jeżeli zaś kandydat był uczniem celującym, to liczba tych odpowiedzi musi być większa.

Gdyby też uczeń mógł zaglądnąć we wnętrze tych sędziów, przed którymi staje! Jakaż to farsa ten egzamin, przy którym mało kto z pytanych materyał opanować potrafi, a pytający starają się gwałtem tylko o to, aby noty, otrzymane przez ucznia w ostatnich półroczach, zgadzały się z rezultatem ogólnym wyroku. Chodzi bowiem przedewszystkiem o to, aby wynik egzaminu nie pozostawał w sprzeczności z świadectwami półrocznemi. Przez ośm lat przyzwyczaił się profesor pół godziny wykładać, a potem o treść tego wykładu pytać; teraz ma nagle okazać zdolność, przez kilka pytań z zakresu wiedzy wyższo -- gimnazyalnej, okazać przewodniczącemu komisyi, że uczeń opanował materyał. Toteż w ostatniem półroczu klasy ósmej nieraz dawał delikatne wskazówki, na co główną będzie kładł wagę przy maturze. A z jaką obawą przy egzaminie śledzi profesor i stara się wyczytać z przestraszonego oblicza ucznia, któremu zadał pytanie, czy on zrozumiał, o co tu chodzi, czy też rachunek prawdopodobieństwa nie zawiódł tego ucznia na fałszywe tory i czy abituryentowi nie wyrwie się z ust jakie głupstwo. A już zupełnie popsuje szyki ta okoliczność, jeżeli wmiesza się przewodniczący komisyi i zniszczy to ciche porozumienie między profesorem a uczniem...

A ten przewodniczący! Z jakiem oczekiwaniem, z jaką obawą rozstrząsa się przed maturą pytanie, kto nim będzie. Z jaką dokładnością wypytuje się o najmniejsze szczegóły przewodniczącego dotyczące, a szczególnie czy on się „miesza“ do egzaminu czy nie. Są dwa bowiem typy przewodniczących. Jedni siedzą jak manekiny za zielonym stołem i z olimpijskim spokojem przysłuchują się egzaminowi, nie odzywając się ani słowem, z tej prostej przyczyny, że mało z tego wszystkiego rozumieją albo przynajmniej, jeżeli znają się cokolwiek na „filologii“, to podczas matematyki i fizyki zupełne zachować muszą milczenie; drudzy przeciwnie lubią sami w tok pytań mieszać się, a wtedy biedny uczeń traci już głowę. Rzecz najprostsza, najzrozumialsza staje się niezwyciężoną trudnością, wszędzie leżą podstępne pułapki, w które się wreszcie daje złowić.

Tysiące takich pada ofiarą matury. A wszystko to ojcowie ich pozwalają sobie czynić, czy są biednymi ludźmi czy nawet wielkimi panami. A kiedy potem posłowie debatując nad budżetem, dochodzą do rozdziału „ministeryum oświaty,“ to mówią o wszystkiem, ale o tych stosunkach szkół średnich nie wspominają, oni mają przecież także synów w gimnazyum, więc pocóż ich niepotrzebnie narażać? Czynią więc jak wszyscy inni, poddając się z uległością żelaznemu jarzmu gimnazyalnych satrapów, chodzą na „konferencye“, gdzie czynią niezliczone ukłony. A kiedy im się o tem mówi, to odpowiadają „przecież na to trudno poradzić“!...

Wprost demoralizującem jest urządzenie naszej klasyfikacyi. Jakie tu targi o „bardzo dobrze“ i „celująco,“ jakie wzajemne zawiści! Jakie wysiłki, aby lepszą od drugiego klasę otrzymać! Piotr czuje się postawionym niżej od Pawła, a ten znowu posyła wszystkich profesorów do piekła, bo mu brakuje jednego stopnia do celującego, ów znowu jest w rozpaczy, bo mu podkreślono błąd w zadaniu łacińskiem, który uczniowi celującemu przypadkiem przeoczono.

A ileżby się dało powiedzieć o ciągłej zmianie profesorów, o stosunku profesora do ucznia, którzy nieraz są sobie wrogami, o wszystkich tych poniżeniach, które poznaje się jeszcze przed wejściem do życia, w wąskich korytarzach gimnazyalnych, o wychowaniu, które ucznia zmusza przez ośm lat przymilać się i udawać baranka wobec profesora, a potem na niego w gazetach wygadywać...

Jak z jednej strony byłoby błędnem zwalać winę i wady systemu szkolnego na ograniczenie profesorów, którzy są tego naiwnego zdania, że ich dzienniki i katalogi są ostatnim wyrazem wychowania, tak z drugiej strony nie można się wiele spodziewać od władz wyższych, od których ten szablon szkolny, sprzeczny z wymaganiami nowoczesnego życia, zależy rzeczywiście.

Skonfiskowano.

Skonfiskowano.

Ale kiedy po skończonym egzaminie zbierają się uwolnieni w tradycyjnej knajpie, to ci, których wskutek dobrego postępu z fizyki i historyi nie pytano, konstatują z zadowoleniem, że przynajmniej te dwa przedmioty zapomnieli już zupełnie, inni zaś starają się pójść w ich ślady. O resztę się nie troszczą, nawet wznoszą toast na cześć szkoły i profesorów. Byle tylko dużo jedzenia było i piwa!

I hulanki! *B. B.*

Po kawałeczku!

(Kartka z czasów terroru w Rosyi).

„Zwyciężonemu za pomnik grobowy
Zostaną suche drewna szubienicy,
Za całą sławę — krótki płacz kobiecy"...

Koszlawe, drżącą ręką kreślone litery skakały mu przed oczyma, nierównemi liniami krzywiły się coraz więcej, zwijały się, jak węże, splatały się z sobą, przeskakiwały jedna przez drugą i w szatańskim, wściekłym tańcu uciekały gdzieś w dal, w nieskończoność. Wytężał wzrok, zbierał myśli i nie mógł złożyć zdania, nie mógł wyczytać ani jednego słowa, nie poznawał ani jednej litery...

Siedział przy stole nieruchomo i tylko rękami, drżącemi bezwładnie, nerwowo przeciągał po nieprzytomnej twarzy, przyciskał do skroni i oczu silnie, — odejmował ręce i znów patrzył nieruchomym wzrokiem w krzywe, poodrywane od siebie litery. Patrzył — i nie widział. A na stole tuż przy nim, jak spadające na kamień jedna po drugiej krople zimnej źródlanej wody, przyciszony, ale jak ostre ćwieki wbijający się w mózg metaliczny głos zegara wydzwaniał urwane ostre „tik — tik, tik — tik"... Głos ten dokuczał mu strasznie, sprawiał mu ból; nie miał jednak siły wyciągnąć rękę, by strzaskać, cisnąć go od siebie daleko.

W głowie mu coś strasznie szumiało, kotłowało się, wzmagało, jak burza, jak piorun, który ma buchnąć strasznym płomieniem, przepełniało mu mózg i nie mógł zebrać zbolałej myśli, nie mógł nawiązać ani jednego zdania...

Wtem drgnął.

Przeraźliwy dzwięk dzwonka w zegarze zatrzeszczał na alarm. Oprzytomniał na chwilę, zdało mu się, że pora wstawać, bo „budzik" przemawia, więc mimowoli spojrzał na wskazówki:

„Północ" — przemknęło mu przez głowę — „późno".

— Spojrzał na leżącą przed nim kartkę papieru i cofnął się. Na białej kartce ujrzał okrągłe, wykrzywione w szyderczym uśmiechu twarze samogłosek, długie smutne figury spółgłosek, — duże T, podobne do szubienicy czy zrozpaczonego człowieka, wyciągało swe długie koszlawe ramiona, zdawało się sięgać po niego, chwytać go w swe objęcia.

Cofnął się przerażony, lecz po chwili przemógł siebie, pochylił się i po raz drugi wyczytał straszne słowa: „Tadzio nie żyje już, zginął"...

„Huu"!... zawył — „huu"!... i z przerażeniem słuchał własnego głosu, który dziko rozbrzmiał w pustym pokoju.

I poczęły mu się cisnąć do głowy urwane, niejasne myśli, obsiadły go, jak roje niezno-

śnych komarów, brzęczały w uszach, koło głowy, lazły w oczy, w nos:

„Nie żyje, nie żyje... Tadek nie żyje!... Tadku! ty nie żyjesz?... Tadku“!...

Widzi Tadka: blady, siny kołysze się na sznurze, powróz skrzypi strasznie, cicho... Zda się, dotyka go. Straszne, bezwładne ręce wiszą wzdłuż ciała, zimne, twarde jak drewno... Olbrzymi czarny kruk usiadł mu na głowie, czarnemi skrzydłami wachluje twarz zsiniałą, wielkim, czarnym dziobem miarowo, strasznie kłuje go w czoło: „dzeń, dzeń“!...

„Kysz! kysz“! krzyknął Marek w przerażeniu, odpędzając rękami strasznego ptaka.

Zleciał ptak ruchem gwałtownym, trup się zachwiał na powrozie i uśmiecha się jakoś krzywo, boleśnie...

„Tadku! Tadku! czyś to ty? Tadku! czy słyszysz? to ja, to ja twój „Mały“, to ja twój Marek! Nie słyszysz mnie? Tadku!“ woła w rozpaczy, przyciskając dłońmi skronie, w których się szarpią tętnice, gotowe co chwila krwią trysnąć: „Tadku!“

Wyciągnął ręce, ale widzenie całe odsunęło się odeń daleko, — trup dalej kołysze się miarowo, z pod zwichrzonych na czole włosów patrzą wielkie, straszne białka martwych oczu, twarz krzywi się w bolesnym uśmiechu, a nad głową wisielca krąży, łopocąc skrzydłami, wielki czarny ptak — kruk...

Nie, to nie kruk, — nie; teraz widzi wyraźnie dwie wielkie niekształtne głowy jego, widzi, jak w silnych drapieżnych łapach ściska berło i miecz... Ach tak, przypomina sobie — przecie tyle się razy z nim spotykał w życiu — jeszcze kiedy był mały i biegł z tornistrem na plecach do szkoły, ptak ten widniał z daleka, przybity nad wchodowemi drzwiami, odwracając w dwie strony swoje czarne blaszane głowy, jakby się sam sobie wstydził w oczy spojrzeć... Jaką to ciekawą anegdotkę opowiadał Tadek o powstaniu herbu państwa rosyjskiego?... Tak, to ten sam ptak o wstrętnych głowach zbliża się teraz do Tadka... O! berło swe złote wznosi nad jego głową, mieczem uderza w trupa i przebija mu pierś na wylot.

„O! kysz! won!“ wrzasnął z całej siły, rzucił się do trupa i w jednej chwili oprzytomniał.

Co to? Nikogo niema; on sam jeden w swoim pokoju; tylko zegarek wciąż woła swoje „tik — tik“.

Jak tu duszno!

Wstał, otworzył okno i usiadł znów na łóżku.

Do pokoju wpadł krótki poryw wiatru, zwichrzył papiery na stole i w jednej chwili zgasił lampę.

Marek siedział w ciemności, na której dość wyraźnie odbijał się jaśniejszy prostokąt okna, przez który widać było część zachmurzonego nieba. Przez chory mózg jego poczęły się leniwie przesuwać myśli, o spełnieniu których nie myślał wcale:

„Trzeba zamknąć okno, zapalić lampę, pozbierać papiery...“ szemrało mu w głowie, lecz siedział bezwładny, skamieniały — nie był w stanie nawet ręką poruszyć, by odgarnąć opadłe mu na czoło bujne, czarne włosy... A na dworze zbierała się burza.

Bezkształtne, ciemne, czarne prawie chmury, jak olbrzymie góry i skały, jak niezmierna lawina sunęły zwolna po ciemnym niebie, zasnuwały je, spierały się jedna na drugą, waliły się, wzbierały i gniotły sobą ziemię, jak gniecie ziemia mogilna przysypanego żywcem człowieka; duszne powietrze spierało dech w piersi, straszny, głuchy pomruk idący od tej czarnej masy napełniał niejasnem uczuciem trwogi, gniótł, dusił, niweczył, wciskał w ziemię jestestwo człowieka, jak wciska w ziemię muszkę drobną olbrzymi spadły meteor. Uf, jak duszno!

Marek zbliżył się do okna, które wychodziło na błotnistą ulicę małego miasteczka. Duszne fale zbliżającego się burzą powietrza nie orzeźwiły jego rozpalonej głowy, przeciwnie zapierały mu oddech, gniotły go jeszcze bardziej. Krótkie porywy wilgotnego wiatru szumiały od czasu do czasu gałązkami rosnących w ogrodzeniu przed oknami białych akacyi, które, zda się, szeptały coś w przerażeniu, chyląc beznadziejnie zwichrzone, kudłate łby; naprzeciwko, z drugiej strony wązkiej uliczki monotonnie dzwonił poruszany wiatrem blaszany szyld golibrody. Ciemno było, ponuro i straszno.

Wtem jasna smuga rozdarła ciemne chmury oślepiającym zygzakiem i oświeciła na chwilę poblizkie domy i ulicę, potem nastąpiła jeszcze większa ciemność, a za chwilę huknął gdzieś niedaleko jakby salwa stu armat, piorun. Zadzwoniły szyby, wiatr targnął otwartem oknem, stokrotne echo powtórzyło w chmurach huk piorunu i jakby wóz ol-

brzymi potoczył się po nierównym bruku niebieskim, tak głos ten huczał, przewalał się, toczył coraz dalej, dalej, aż cichnąć począł, gdy wtem zastąpił go drugi, trzeci... Co chwila błyskawica rozdzierała ciemności, pioruny bić poczęły jeden po drugim; zdawało się — natura dostawszy obłędu szalała w przestrzeniach, szukając ofiary, którąby rozszarpać, zniweczyć mogła. Deszcz kroplisty z początku pojedyńczemi kroplami potem coraz gęstszy, gęstszy począł dzwonić w szyby i blaszane dachy domostw, szum jego wzmagał się, silniał, nareszcie zgłuszył, pojął wszystkie głosy i lał, lał, jakby tę ziemię nieszczęsną z ohydy obmyć, lub masą swoją zalać pragnął.

Marek wychylił się z okna. Wiatr stargał mu włosy, gęste, duże krople spadały mu na głowę, łączyły się z kosmykami włosów i twarzy i zdało mu się, że się zlał z burzą w jedno ciało olbrzymie, że jest jego cząstką, więc szalał z nią razem; żal, nienawiść wzmagały mu się w piersi, rosły jak fala, pragnienie zemsty owładnęło nim, włosy powstały mu na głowie, a wszystkie uczucia, targając duszą jego, wylały się w krzyku, który wydarłszy się ze ściśniętej piersi wstrząsnął całem jego jestestwem.

„Aa!!“ rzucił w burzę, w przestrzeń, a w krzyku tym była cała dusza jego.

Huknął piorun i wraz z szumem deszczu zgłuszył krzyk ten, który zamarł tuż za sztachetami, okalającymi domostwo.

Marek zamknął okno i drżąc na całem ciele począł szukać zapałek. Zapalił lampę, pozbierał papiery rozrzucone na podłodze, szepcąc drżącemi usty uparcie, jakby mu kto oponował:

„Pomszczę, pomszczę... Tadku! ja ciebie pomszczę... ja nie mogę... ja muszę pomścić... Krew twoja, święta krew twoja bezkarnie im nie ujdzie... O nie!“powtórzył z mocą — „o nie!“

Zbliżył się do ściany, otwarł misternie w niej ukryte drzwi skrytki, począł w niej szukać czegoś, wyjął jakiś plik książek i papierów, znów je włożył, nareszcie wyjął czarną szkatułkę, postawił na stole i wydobył z niej sztylet prosty, ostry, błyszczący. Spojrzał pod światło, spróbował ostrza, pomyślał chwilę i jakby nagle zmienił zamiar, przecząco wstrząsnąwszy głową, schował go napowrót, natomiast wydobył czarny, dość duży pięciostrzałowy rewolwer, obejrzał go uważnie i położył na stole.

— „Pójdę, wymyślę interes do niego i strzelę mu w łeb“, myślał gorączkowo.

„Zginiesz“ — szepnął jakiś głos.

„No to zginę“ — powtarzał uparcie, nie zastanawiając się nad tem, bo duszą jego owładnęła niepohamowana żądza wytoczyć krew z pierwszego spotkanego carskiego sługi, z których każdy był przepojony krwią i cierpieniem jego braci i przyjaciół.

Postanowił zabić nazajutrz rotmistrza żandarmów, który mieszkał o parę ulic. Zabić, roztargać go na części i — umrzeć..

Wszelkie myśli, powstrzymujące go od tego czynu, odpędzał od siebie, — mózg, serce, cała dusza jego zmieniła się w jedno zarzewie zemsty.

Usiadł na łóżku i myślał:

„Trzeba popalić papiery, zatrzeć ślady po sobie, zniszczyć wszystko“...

Chciał wstać, ale bolały go wszystkie kości, głowa ciążyła, jakby ołowiem nalana, leniwa myśl nie chciała się poruszać, więc utkwił wzrok w płomień lampy i siedział nieruchomo, myśląc, że jeszcze do rana daleko, jeszsze wszystko zrobić zdoła, tylko trochę posiedzi sobie, odpocznie chwilkę, bo go tak strasznie głowa czegoś boli, — słabo mu...

Zmrużył bolące powieki: przed oczyma poczęły mu latać czerwone, różowe i granatowe płatki; otworzył oczy: pokój cały przesłonięty był mgłą, przez którą widział światło lampy, które mu się wydało dalekim ogniem pastuszym gdzieś na łące; opary powstają z łąk, światełko się oddala, blednie, niknie we mgle... To pewno pastuchy na łące u ognia się grzeją, a on idzie na polowanie — zaraz świtać zacznie... Zmęczony bardzo, więc usiadł na trawie spocząć. Gdzie jest Tadek? zdaje się razem mieli polować... Tadek mówił, że.., że... Nie mógł przypomnieć, co Tadek mówił, światło ogniska znikło,zdało mu się, że pada gdzieś w jamę, ciemność go otoczyła i — przestał czuć i myśleć.

Lampa wypalona zgasła, cisza zaległa pokój, tylko mysz skrobała gdzieś za szafą i od czasu do czasu śpiący w półleżącej postawie Marek stękał i jęczał głucho przez sen.

Ciężkie mary gniotły pierś jego, fantastyczne widzenia opadły go i męczyły niewymownie. Śniło mu się, że idzie po bezmiernej śnieżnej równinie; wtem zdala, patrzy,

w trzy konie zaprzężona kibitka lekka pędzi cwałem wprost na niego, nie może rozeznać, kto w niej siedzi, chce ustąpić z drogi, ale coś przykuło mu nogi do śniegu, nie może stąpić kroku... A konie rozhukane pędzą cwałem na niego, dzwonek u „duhy“ jęczy, tuż przed sobą widzi rozdęte chrapy końskie, wzniesionemi kopytami chwytają go pod siebie, tratują i wloką po śniegu. Nie czuje bolu, ale niewysłowiona trwoga chwyta go za włosy. Krzyknął — i sam się zdziwił. Czegoż się przestraszył, gdy nie pod kibitką ale w kibitce siedzi i pędzi gdzieś — dokąd? — sam nie wie... Ale nie, to nie kibitka, to jego własne łóżko w jego własnym pokoju! Siedzi na łóżku, w ręku trzyma otwartą książkę: czytali razem z Tadkiem o komunie paryskiej. Rewolucyjne okrzyki komunistów działają pobudzająco, więc i jego ogarnęła żądza bohaterstwa; odłożył książkę i zwrócił się do Tadka:

Wiesz, bracie, — nie żądałbym nic więcej od świata, bym tylko mógł kiedy stanąć na barykadach, tu u nas, i raz jeden krzyknąć z całego tchu: „precz z carem! precz z niewolą!“ Niechbym i zginął potem, — za taką chwilę nie szkoda oddać życia!“

Tadek siedzi na oknie, ręce złożył na piersi, spogląda, smutno ale spokojnie swemi głębokiemi rozumnemi oczyma.

„Nie sztuka oddać życie odrazu, choćby za najwznioślejszą ideę, choćby dla takiego okrzyku — zrobić to potrafi każdy przeciętny człowiek w chwili podniecenia i zapału; nie sztuka błysnąć, jak fajerwerk i zgasnąć jak on, ale sztuka tlić się ogniem buntu, prowadzącego do prochowni: lont się dopali, zniknie i nie ujrzy jak prochy wybuchną, ale będzie przyczyną wielkiego dzieła; sztuka — całe życie, pod grozą śmierci, bez sławy, pracować cicho i nieustannie, — sztuka oddawać życie idei nie odrazu, dla chwilowego podniecenia, ale świadomie, ciągle, po kawałeczku, bez myśli o własnem szczęściu — i, wierz mi, gdy ostatnią kroplę swego życia i myśli oddasz dla ludzi, wówczas będziesz najszczęśliwszy, bo sam cierpieć przestaniesz“...

„Po kawałeczku!“ powtórzył Marek i otworzył oczy.

Widzenie pierzchło, ale tylko w połowie. Niema Tadka, ani książki czytanej, ale on siedzi na łóżku swojem, naprzeciwko okna. Ukośne promienie wschodzącego słońca wpadają przez szyby do pokoju, i łamiąc się w stojącej na stole karafce z wodą, rzucają na ścianę prześliczne widma tęczowe.

„Jak długo spać musiałem“ — myśli Marek — „jakie straszne sny miałem!“

Intrygowało go ostatnie widzenie: był to sen, ale w śnie powtórzyła się z całą dokładnością rozmowa dwu braci, prowadzona przed paru miesiącami w tem samem mieszkaniu z powodu „komuny paryskiej.“ Brat Marka Tadeusz padł ofiarą terroru, chociaż, nie będąc przeciwnikiem rewolucyi w zasadzie, był przeciwnikiem takiego terroru jaki istniał podówczas, i brata, który mniej chłodno rozważał, starał się od niego odciągnąć.

Teraz Marek pod wrażeniem sennego widzenia przypomniał sobie wszystkie dysputy, jakie prowadził z bratem na ten temat, przypomniał, że przed dwoma tygodniami otrzymał kartę małą od niego z więzienia, a na niej dwa słowa tylko: „Pamiętaj — po kawałeczku!“

Spojrzał na stół — stała na nim otwarta szkatułka, a obok niej leżał rewolwer i sztylet; drzwi skrytki były otwarte.

„Co za nieostrożność!“ szepnął, zrywając się szybko i porządkując w pokoju. Za chwilę wyglądało wszystko jak dawniej, żaden przedmiot w pokoju nie mógłby wzbudzić podejrzenia w duszy najczujniejszego żandarma.

Zawołał na służącę, by mu podała herbatę, otwarł okno i usiadł przy niem. Ciepłe słońce czerwcowe wytaczało się zwolna po jasnem niebie w górę i lśniło w kroplach niedawnego dżdżu, wiszących na listkach drzew i trawy. Po burzy wszystko wyglądało rzeźwo, — umyte, jasne: ptaszęta świergotały wesoło wsród gałęzi akacyi; żydziaki bawiły się naprzeciwko na brudnym ganku golibrody; dwie młode wieśniaczki niosły na drążkach przewieszonych przez ramię wiadra z dojrzałemi czereśniami, na sprzedaż do miasteczka. Zdawało się — nic nigdy nie zmieniało się na tym świecie, nigdy żadna burza nie przeciągała nad nim. Wszyscy byli weseli, rzeźcy, szczęśliwi, jak gdyby żaden ucisk, żadna niesprawiedliwość nikomu się tu nigdy nie stała, jak gdyby przed paru dniami nie zginął uduszony stryczkiem młody, pełen sił zapaleniec, który zawinił wobec świata tem tylko, że miał serce za szerokie, za wielu ludzi kochał, a dla innych, nie dla

siebie szczęścia pragnął... jakby tu przytem nie siedział drugi, któremu się zdawało, że ze śmiercią tamtego połowa piersi jego zmieniła się w spleśniałą próżnię...

Zdala począł dochodzić dźwięk metaliczny, urywany — to trąbka żołnierska. „Tra-ta, tra-ta-ta, tra-ta, tra-ta-ta!“ dzwoniło w czystem rannem powietrzu. Głos jej zbliżał się coraz bardziej, nareszcie dał się słyszeć miarowy tupot wielu nóg ludzkich i na ulicy ukazała się kolumna piechoty, dążąca zapewne na mustrę za miasto. Trąbka umilkła, natomiast ozwał się bęben, trzeszcząc w takt miarowych kroków żołnierzy, którzy szli z ciężkimi karabinami na ramieniu, ze zwiniętymi w wałek płaszczami i tornistrami na plecach; szli miarowo, zgodnie, trzymani żelazną ręką dyscypliny, smagły tatar, smukły czerkies i rudy fin obok krępego mazura; żaden z nich nie uczynił ani jednego ruchu nie nakazanego przepisem, żaden nie myślał o tem, dokąd idzie i jak długo iść będzie. To nie ludzie, — to wielka liczba, złożona z masy numerów, to machina, którą jutro mogą pchnąć pomimo jej wiedzy i woli w otchłań, na mękę, śmierć i zniszczenie, to masa ludzi, wyjętych z pod ludzkiego prawa, kolbowanych i bitych codziennie po twarzy przez swych oficerów i diad'ków... a jednak Marek ze zdumieniem widzi na twarzach tych wyraz zadowolenia: wesołem okiem spoglądają wokoło, uśmiechają się do mijających ich wieśniaczek z czereśniami, mają wygląd szczęśliwych ludzi, którym nic nie brakuje.

„O, Boże! czy ci ludzie naprawdę są szczęśliwi?“ wykrzykuje Marek w duchu: „jednakże jak mało potrzeba człowiekowi do szczęścia i jak nietrwałą chwilą jest owo szczęście“.

A trąbka dobosza zmieniła znów bęben; metaliczny, pozbawiony drgań życiowych głos jej począł znów rzucać w przepełnione życiem powietrze, jakby na urągowisko światu i owemu powietrzu, urwane, ostre: „tra-ta, tra-ta-ta“... a posłuszne owem dźwiękom nogi żołnierzy przesuwały kolumnę coraz dalej, dalej, aż znikła z posępnych oczu Marka.

*   *   *

Dzwonek. Do poczekalni IIgiej klasy wchodzi olbrzymi portyer i stentorowym głosem obwieszcza:

„Kijów, Charków, Odesa!“

Między pasażerami wszczyna się ruch, poczynają wychodzić na peron; pociąg podchodzi z szumem i sapiąc zatrzymuje się przed stacyą. Od kasy biletowej biegnie szybko młody człowiek, chowając w biegu portmonetkę do kieszeni, chwyta niepozornie wyglądający swój pakunek i chce też wyjść na peron, ale w drzwiach oko w oko spotyka się z wysokim oficerem żandarmskim o dużej czarnej brodzie, który, ujrzawszy go, rozpromienia śniadą twarz i woła uradowanym głosem:

„A, Marek Mieczysławowicz! jak się miewacie?“

„Dziękuję panu“ — odpowiada stropiwszy się nieco Marek — „jakże pańskie zdrowie?“

„E, nieświetne“ — machnął ręką — „ciężka służba, roboty teraz dużo... Ale dokąd że to pan spieszy? Do Kijowa?“

„Tak, jadę do Kijowa, — proponują mi tam w biurze posadę: jadę się porozumieć osobiście,“ — skłamał na poczekaniu Marek. — „Ale wybaczy pan, że go pożegnam — pociąg zaraz rusza.“

„O, co to, to nie“ — zaprotestował żandarm — „już ja pana tak łatwo nie puszczę: musimy po starej znajomości stuknąć co przy bufecie. A pociąg nie ucieknie — stoi tu 15 minut.“ I wziąwszy Marka pod ramię prowadził go do bufetu, a tamten szedł, by wymawianiem się lub stanowczą odmową „bestyi nie drażnić,“ lub nie wzbudzić w nim jakiego podejrzenia, gdyż w zawiniątku, które niósł w ręku, a które wyglądało bardzo niepokaźnie (z pod ujętej w paski wyszarzanej kołdry wyglądał róg poduszki o brudnej poszewce), miał proklamacye litografowane, oraz kilkanaście nielegalnych broszur. Stanęli więc przy bufecie, zażądali koniaku i pili, trącając się kieliszkami. Żandarm ze szczególną uprzejmością zapraszał Marka do spożywania przekąsek i sam nie kazał się prosić, tylko jadł, poruszając ogromnemi gorylemi szczękami, kawior, konserwy rybne i inne. Potem pili znów „czystą“, znów koniak... W Marku wzdrygała się dusza, ksztusił się, ale pił i jadł, śmiejąc się nieszczerze na całe gardło z moskiewskich dowcipów żandarma, a w duchu powtarzał ciągle: „po kawałeczku! po kawałeczku!“, bo mu się pięść mimowolnie ściskała i brała go nieprzeparta chęć palnąć żandarma między

oczy, zwalić na ziemię, a potem kopać go, deptać, szarpać, znęcać się... Ale nie uczynił tego, przeciwnie pił i śmiał się, a u nóg jego leżało cicho jego zawiniątko, i róg brudnej poduszki spoglądał ku nim skromnie, jakby się żenując swego dezabilu.

„Kijów, Charków, Odesa! Drugi dzwonek!“ zabrzmiał potężny głos portyera.

„Ach, przepraszam, do widzenia!“ przemówił pospiesznie żandarm, podając ręce Markowi: „Zagadałem się z panem, a tu muszę spieszyć, — tyle spraw!“ dodał i okręciwszy się na pięcie, zniknął w drzwiach z napisem „żandarmerya,“ widocznie zapomniawszy zapłacić w bufecie.

Marek zapłacił za siebie i za niego, porwał zawiniątko i pędem wybiegł na peron.

Pociąg ruszył z przed oświeconego gazem dworca! jak olbrzymi smok, sapiąc i błyszcząc czerwonemi latarniami lokomotywy, począł pogrążać się w ciemności, oddalać, niknąć, aż wytoczył się na pole i z hukiem niósł siedzących w nim ludzi po ciemnej równinie.

Nad ziemią sunęły zwolna ciemne, gęste chmury.

Marek stał w oknie wagonu i patrzył w przestrzeń. W głowie mu szumiał wypity na stacyi koniak, bezładne myśli cisnęły mu się i plątały po mózgu, szkoda mu było zapłaconych w bufecie pieniędzy, wzdrygnął się na wspomnienie żandarma z czarną brodą, a usta jego szeptały bezwiednie:

„Po kawałeczku...“

Chmury ciemne sunęły nizko, pełzały zda się po ziemi olbrzymiemi ciężkiemi cielskami i pokrywały mrokiem mglistym świat cały, tylko w jednem miejscu jaśniejsza plamka wskazywała, że gdzieś tam w górze księżyc blady świeci przecie nad ciemnym chmur całunem. *Grzymalita.*

Polska za oceanem.

Opinia publiczna naszego społeczeństwa bardzo jest zajęta obecnie koloniami polskiemi, zawiązującemi się w Brazylijskim stanie Parana. Na ważną tę sprawę musimy i my też zwrócić uwagę Czytelników. Parana jest to kraj żyzny, mający obszaru 244000 klm. kwadratowych. Pomimo bliskości równika Parana, z wyjątkiem wąskiego pasa nadbrzeżnego, ma klimat łagodny, umiarkowany, a to dzięki wysokiemu położeniu, odpowiadającemu wysokości Tatr. Polacy wychodźcy stanowią **już** dziś blisko 50% ludności Parany, wynoszącej przeszło 280000 mieszkańców. Wzmagający się wskutek krajowych warunków ekonomicznych prąd wychodźczy polaków do Parany w związku z przyrodzonemi bogactwami tego kraju zwrócił uwagę społeczeństwa polskiego i wywołał stworzenie szeregu instytucyj, mających na celu zorganizowanie i skoncentrowanie wychodźctwa polskiego w Paranie. Obok Towarzystwa kolonizacyjnego, które ma się zająć skupowaniem a następnie parcelacyą ziemi w Paranie między kolonistami — działa też obecnie zawiązana przy polskiem Towarzystwie handlowo-geograficznem „Sekcya oświaty w koloniach polskich“, której celem jest kolonistom polskim w Paranie „zapewnić rozwój w duchu narodowym z zachowaniem kultury polskiej“. Zadaniem Sekcyi na dziś jest: 1) stworzenie pisma polskiego w Paranie, 2) zakładanie księgarni, czytelni, itd., 3) zorganizowanie szkolnictwa polskiego. Członkiem Sekcyi może być każdy za roczną opłatą 1 złr. względnie 1 rs. 2 mar. 2 fr. 2 szil. ½ dol. 1 milr. Wkładka umyślnie ustanowiona została tak mała, aby uprzystępnić szerszym masom należenie do Sekcyi. A pamiętajmy o tem, Koledzy, że gdy społeczeństwo nasze jest pozbawione bytu politycznego i opieki własnego rządu, obowiązkiem więc naszym jest drobnymi dobrowolnymi datkami popierać cele narodowe. Sprawa zaś kolonizacyi Parańskiej należy do ważnych spraw narodowych. Nie mówiąc już o wielkiem znaczeniu ekonomicznem, jakie kolonie zawsze wogóle mają dla swoich metropolij — kolonie polskie w Paranie będą dla nas miały ogromne znaczenie moralne, jako potężny dowód siły żywotnej narodu naszego, jako wreszcie szerokie ujście dla tych mas wychodźczych ludu polskiego, które z powodu warunków bądź ekonomicznych, bądź politycznych, nie mogą znaleźć sobie miejsca w żadnym z trzech zaborów.

Skierować te żywioły o ile można w jedno miejse — podnieść ich dobrobyt ekonomiczny — wzniecić tam za oceanem nowe ognisko kultury polskiej — i rozbudzać w kolonistach ducha narodowego, tak, abyśmy zawsze w każdej okoliczności odczuć i znaleźć w nich mogli braci i sojuszników — oto są zadania, otwierające się dzisiaj przed na-

szem społeczeństwem, zadania, pociągające swoim urokiem polskie serca. Nic dziw też, że znajdują się ludzie, którzy dla tych wielkich zadań poświęcają swoje osobiste sprawy i dążenia, i w imię idei płyną za ocean, by tam na miejscu pracować nad zorganizowaniem i uświadomieniem narodowem wychodźców.

Poniżej umieszczamy urywek z listu prywatnego jednego z takich pracowników idei, który rok temu opuścił Lwów, udając się do Parany. W liście tym maluje się smutek i bezbrzeżna tęsknota Polaka na obczyźnie, kojona przez piękno natury, opanowana przez hart woli.

„Nad brzegiem Atlantyku i zatoki Paraguaskiej, otoczona łańcuchem gór Serra do Mar, leży niewielka polanka. Oko podróżnego na pokładzie wpływającego do zatoki okrętu już zdala dostrzeże na niej szereg małych, krytych liśćmi palmowemi chatek rybackich, kilka pokaźniejszych kamieniczek, kilkanaście magazynów towarów i stacyę kolejową. Wszystko to tworzy osadę portowo-rybacką zwaną Porto d'Agua lub też w języku urzędowym „Porto don Pedro II“. Nieco na uboczu od niej stoi mały, czysty, na czerwono pomalowany i wiecznie podobno pusty hotelik niemiecki, w którym od kilku dni używam wywczasów. Dom otaczają smugłe palmy, osypane złocistym owocem pomarańcze, myrty, banany i mnóstwo kwitnącej zieleni. Z okna swego pokoju widzę szeroką lustrzaną taflę morza i pasmo wysokich i dziwacznie poszczerbionych gór. Po piaszczystej drodze przed domem, trzymając się pod ręce, przechadzają się leniwym krokiem wiecznie próżnujące, czarno-okie i czarno-włose damy brazylijskie. „Sabe, um redactor polaco da Curityba esta aqui, um hamen jovem“ — powtarzają sobie, ciekawie zerkając w stronę mego okna. Lubię widoki gór, morza, słońca i kwiatów, niema jednak piękniejszego widoku nad śliczną twarzyczkę dziewczęcia, ładną — jak marzenie o szczęściu, wesołą — jak radość dziecka i jak tajemnica kusząca. To też niekiedy, gdy wśród spacerujących kwiatów Parany, ukaże się taki buziak dziewczęcy, mimowoli wychyli się przez okno moja łysa głowa, a ręka odruchowo śle od ust całusa. Damom podoba się to bardzo, bo uradowane chichocą wesoło, parskając przy tem jak młode źrebięta.

Dobrze mi tu jest, spokojnie. Ciszę przerywają najczęściej tylko gwizd lokomotywy lub sygnały okrętowe, które swym basowym głosem zdają się wołać na mnie: „Józik, a jedźże do Europy, jedź!“ Niekiedy po wieczornej rosie przypływa do mnie echo jakiejś melancholijnej piosenki, śpiewanej przy dźwięku gitary. Melodya jej, rzewna i smutna jak skarga zawiedzionego, przesiąka do duszy jak kropliste łzy i rozpływa się w niej wielkim spokojnym smutkiem.

Na stole przedemną leży stos listów prywatnych i nieprywatnych, oczekujących cierpliwie załatwienia. Obok piętrzy się cała plika przeróżnych materyałów i notatek do korespondencyj i rozpoczętego już „Przewodnika dla emigrantów“. Biały papier listowy i nietknięte pióro zdają się z wyrzutem spoglądać na mnie. Mówię im: „poczekajcie jeszcze dzień, dwa najwyżej — nie pali się przecież“ — a sam biegnę nad morze, wynajmuję czółno od rybaka i po gładkiej, niebieskiej jak farbka wodzie płynę sobie daleko, daleko. A myśli me biegną jeszcze dalej, przedostają się za ocean, wędrują po płaskich równinach Podlasia, zaglądają do Warszawy i Lwowa, szukają swoich. A głowa, zapominając o rozmaitych sprawach publicznych i prywatnych, o troskach rozmaitych, planach, projektach, businessach, oddycha tylko wspomnieniami minionej na zawsze przeszłości, a nerwy zasypiają sobie cichutko, jak małe dziecko na kolanach swej siwowłosej piastunki, a dusza przestaje boleć i tęsknić i jest mi dobrze, tak dobrze, jak tylko we śnie być może“.

ZBRODNIARZ.

(Dokończenie).

Janek wracał do domu z więzienia, przygnębiony. Różne przypuszczenia i złowrogie przeczucia snuły mu się po głowie. Od tygodnia już bowiem przeszło nie była u niego jego żona; widocznie zachorowała ciężej niż zwykle, skoro się nie mogła przywlec nawet w niedzielę do kościoła. Gdyby bowiem była w kościele, niezawodnieby go odwiedziła, bo cóżby jej szkodziło zboczyć parę kroków. Zresztą dawniej tak często, dwa razy na tydzień przychodziła; cóżby się teraz stać mogło?

— Umarła — szepnęło mu okrutne przeczucie.

Po całem ciele przeszedł go mróz dreszczu.

Wtem zamigotał przed jego oczyma napis: „Kółko rolnicze w....“. Powziął w jednej chwili zamiar, wstąpił, wziął „na bórg“ dwie flaszki wina i wyszedłszy na pole wypił jedną i drugą.

Wieś już zalegał mrok, przygniatający duszę. Janek szedł jeszcze bardziej ponury i złamany na duchu. Cisza wieczorna, gasnący dzień ściskała mu myśli jakby żelazne jakie ręce. Czuł się słabym, bezsilnym wobec tej potęgi i to go wprawiało w rozpacz.

— Ecj ręka noga! — pomyślał i wyrzekł półgłosem — żeby tak nie dzieci!

I trzasnął z całej siły obiema butelkami o parkan, aż się szkło na drobne rozprysło kawałki.

— Co tam takiego!? — zawołał nagle ktoś ostrym głosem.

Przed nim stanął wójt, jego odwieczny wróg. Jánek łysnął tylko z wściekłości oczyma, ale nic nie rzekł.

— Coześ ty pijany cy co — zapytał go wójt, — co tak rezykujes i tłuces sie po nocy?

— Jakim jes, takim jes, a tobie zatraceńce wara od tego.

— Stulis pysk, cy nie? spytał znów dumnie wójt. Ale nim dokończył, do tał potężne uderzenie w łeb i zatoczył się ku ziemi jak pijany. W Janku wrząca krew zagrała i skoczywszy ku swemu przeciwnikowi, który właśnie sięgał po coś do kieszeni (widocznie w celach obrony po nóż), „poprawił“ mu jeszcze raz i drugi, schwyciwszy go pod gardło, potem zawinął nim silnie w bok, obalił pod płot, bijąc ciągle pięściami i wołając:

— Máś psia, za moje pole, za moją krowę, za kozę! Wreszcie nasyciwszy zemstę poszedł ku swej chałupie. Znów go opadły złowrogie przeczucia i myśli jak zmory, a grozę ich zwiększała ciemność nocy. Jakiś głos ciągle mu szeptał w duszy: „I cóż ci z tego przyszło, żeś się napastwił nad twym wrogiem? Znowu pójdziesz za to do kozy, znowu żona i dzieci z głodu będą przymierały“. „Alem mu doprał“ szepnął sobie w duchu jakby dla zrównoważenia trapiących go myśli jakiemś milszem uczuciem. Lecz znów otrzymał odpowiedź rozumu: „nic ci z tego! wsadzi cię do kozy! — Nie śpieszno ci do żony, nie śpieszno do dzieci, a do bitki się rwiesz!“ Te refleksye dręczyły go okropnie — rozsadzały mu głowę. Z nocnych ciemności (a była to noc bez gwiazd i księżyca, wtłoczona na ziemię całunem chmur ołowianych) wysuwały się doń jakieś postacie sine o martwych rysach, a każda z nich przypominała mu żonę. Otrząsł się, nerwowym przejęty strachem. Przeklinał przeczucie, co mu ciągle mówiło: „Umarła, umarła;“ nie miał jednak siły, by mu się oprzeć. Przygnębienie opanowało go w zupełności. Szedł machinalnie, potykał się, lecz nie czuł tego, nie wiedział, pogrążony zupełnie w walce uczuć i myśli. Stanął przed drzwiami; już chciał wejść z trwogą w sercu, że może zastać w domu coś strasznego, gdy wtem nagle się cofnął, jakby go ktoś silnem uderzeniem w piersi odepchnął i zatoczył się, dobywając z piersi stłumionego, przepełnionego gorzką boleścią głosu: ‚Aaa!“

Z izby doleciał go głos — głos niestety! — obcego człowieka.

Czuł, że gdyby miał pod ręką nóż, truciznę lub postronek, lub gdyby mu pod stopami zaszumiały odmęty wód, zadałby sobie w tej jednej chwili śmierć bez wahania. Żałował nawet. Zerwał się, chcąc uciec od miejsca dręczących go wspomnień i pobiegł pędem, nie zważając na ciemności, do chaty swej siostry, gdzie właśnie umieścił swe dzieci przed odsiadywaniem kary nałożonej mu za „opór władzy“.

Bez wahania, bez przywitania: „niech będzie pochwalony“, wpadł do izby. Z kąta doleciał go słaby głos:

— Toś ty Jánek? pódźino hawok!

„Chwała Bogu!“ pomyślał sobie. Był to głos jego żony. Podszedł do wérka*), na którem leżała jego żona. Słabe światło okopconej lampy rzucało wątłe promienie na jej wynędzniałą twarz. Obok niej na posłaniu leżało dwoje młodszych dzieci, chrapiących snem kamiennym.

— Kaz Józek? — spytał drżącym głosem, lękając się by nie dostał jakiej złej wiadomości.

— Posed do kółka po cątarzyjąn lá mnie.

— Bardzo ci źle?

*) wérko — łóżko proste.

— Ej nie tak ta bardzo, ale zawdy coráz gorzy — odrzekła, kaszląc suchotniczo.

Janka znów ten kaszel przejął nie pokojem i obawą o przyszłość.

— Dzieci zdrowe? — spytał po chwili.

— Józek ta zdrów, ale tych mniéjszych jesce w sobie boléwá. Ráz to nawet taki ci bardzo był chory ten Stasek, tak go ci rznęło w sobie, całąm noc wrzescáł i jęcáł, com myślała, ze go juz weźnie na drugi świat. Ale mu sie potęm juž lepi zrobiło.

— A Jadwiga nie wyrzéká na ciebie ześ tu z dzieciami? Kaz ona jes?

— W chlewie; krowy doi. Ni mąm sie ta na nią co żalić, doś mi u ni dobrze, robie ś nią razem i jémy téz wszyscy razęm. Ona tu sama była, cnęło ji sie, to téz i nąm jes rada doś. Jak gdowa, rada dzieciom.

Wieczór zeszedł Jankowi i rodzinie nieco weselej. Gdy się kładł spać, był już spokojniejszy. Przeczucia złe i trapiące myśli przestały go dręczyć. Rozmyślał tylko, co ma robić jutro. Wiedział, że go czeka praca, ciężka praca, ale już nie szemrał na to w duchu, — owszem, myśli te były dlań niejako wytchnieniem po przebytej męce i cierpieniu duszy.

Zaraz nazajutrz i dni następnych pracował jak wół roboczy na pańskiem. Lecz wnet pojął, że 25 ct. to chyba trochę za mało na dzień dla niego, żony i dzieci, ciągle o jedzenie wołających. Postanowił więc pójść gdzieś na robotę do jakiej fabryki lub kopalni, gdzieby mógł więcej trochę zarobić.

Nadarzyła mu się właśnie doskonała sposobność, oto objeżdżał agent z Ostrawy, w celu ściągnięcia jak największej liczby robotników, na których wówczas wielki był popyt skutkiem wyjazdu wielkiej liczby ludu do fabryk pruskich. Dowiedziawszy się, że w kopalni tej można zarabiać więcej niż reński dziennie i że wielu parobków ze wsi wybiera się tam na zimę, z radością poszedł o tym zamiarze uwiadomić swą żonę.

Ona jednak zupełnie inaczej to przyjęła niż się spodziewał.

— Ej stary! — rzekła — i pocóz téz ty pódzies tłuc sie po świecie, mnie juz i tak niedaleko do śmierci, cóż będąm dzieci robiyły. Lepi byś siedziáł w chałupie; klepałoby sie ta biedę ale cóz robić? Zawdyby mi ta lepi było przy tobie umiérać.

Boleśnie go to tknęło, zwłaszcza, że nie miał nic przeciw temu do powiedzenia; żona bowiem zapadała z każdym dniem coraz bardziej na zdrowiu. Chciał ją jednak pocieszyć.

— Ej co ta bedzies znów gádała. Nie tak chorówali jak ty a wyzdrowieli. Nágorzy jak sie zacnies trápić. A tu sześ złotych bym w Ostrawie zarobiół, zylibyma se jak panowie! — odpowiedział, siląc się na weselszy ton; znów go jednak dręczyć zaczęły złowrogie, posępne przeczucia i myśli jak pijawki w mózg mu się wsysały.

— Eee! powiédz ta o pańskiem życiu komu insemu, nie mnie. Nie lá mnie pańskie wygody. Do śbem się juz nazyła i wyciérpiała, cas juz i na mnie. Ino ta dzieci pilnuj, jak mie braknie... — odrzekła z łagodną, lecz do głębi duszy przejmującą smętnością w głosie, a dwie, ciche łzy biedne stoczyły się po jej policzkach.

Janka taka wielka żałość ścisnęła za serce, że o mało nie wybuchnął głośnem łkaniem; powstrzymał się jednak.

— Ną to juz nie pudę, — rzekł — kiej ci tak źle i markotno.

Nazajutrz i przez sześć dni następnych nie chodził „na pańskie“, tylko do lasu w pobliskiej wsi, gdzie zarabiał po koronie dziennie przy rąbaniu drzewa. Żonie jego polepszyło się tymczasem, kaszlała daleko mniej, wstawała nawet z łóżka do cięższych robót. Siostrze swego męża pomagała jak mogła, byle się tylko nie stać dla niej ciężarem. Sama teraz żałowała, że odmówiła męża od wyjazdu do Ostrawy. Pewnego razu zagadnęła go:

— Wiés co? skoda, zęm ci nie dała iś do Ostrowy. Za tęn cás byłbyś juz sporo zarobiół; a i mnie lepi, jak widzis.

Zdecydował się prędko.

— Aną — odrzekł natychmiast — to nic; jesce mie przecię przyjmąm. Juz sie i tak dzisiák robota w lesie skończyła a dwóch chłopáków cudzi w poniedziałek do Ostrawy to pódę ś nięmi. Dobrze, coś mi zbácyła.

Zastanowiła się na chwilkę.

— Aną jak iś to to iś; idź ino, zebyś niedługo przysed. Já bo ta juz podolę zepchnąć robotę w chałupie.

— Cóz to chces iś do Ostrawy? spytała siostra, wchodząc do izby.

— Aną juści! cóz bedę mitręzył.

I poszedł. Gdy jednak wychodził ze wsi i zobaczył jak wójt wprowadzał do swej murowanej stajni dwa spaśne maściste konie, obudziło to w nim na nowo trapiącą go zmorę.

— Psiá ściérwa — zaklął przez zęby — wszyćko to za moją krwawicę.

*   *   *

Ale i w Ostrawie nie doznał pocieszenia. Wprawdzie mu przynosiło pewną ulgę to, że dostawał regularnie co tydzień pieniądze i to nie mało, bo robił jeszcze w godzinach dodatkowych, ale wciąż go dręczyła ta myśl: „miałem a zmarniło sie“. Chłopcy ze wsi, którzy wraz z nim poszli do Ostrawy, nie bywali z nim, nie gadali, tylko sami gdzieś uganiali, nie troszcząc się o niego. Zresztą sam to rozumiał — za stary był dla ich towarzystwa. Oni byli zupełnie innego usposobienia; widział radość w ich oczach, gdy dostawali pieniądze, mówili o prezentach i podarkach dla dziewuch, zresztą byli w gromadzie weseli, gdzie nie było czasu na smutki i strapienia. On był samotny, zamknięty w sobie, robak gryzł go w cichości, każdy grosz otrzymany przypominał mu myśl: miałeś więcej, teraześ dziad. Ta nieszczęsna myśl trapiła go ciągle, sącząc jad w jego duszę, spędzając uśmiech z jego ust, strącając sen z jego powiek, dręcząc go i strasząc nocnemi widziadłami. Jeżeli spokoju kiedy zaznał, to chyba przy robocie; to też pracował jak wół od nocy do nocy, chcąc w ten sposób ukoić boleść duszy swojej. Lecz to mu nie wystarczało — zaczął pić, by w wódce utopić zmartwienie. Często upiwszy się powtarzał sobie na pocieszenie znaną pijacką śpiewkę:

„Gorzałeczka trunek
„Dobry na frasunek
„Kto gorzałeczkę truje
„To sie nie frasuje.

Nie przepijał jednak wiele, nie zapominając wcale o żonie i o dzieciach, owszem — posłał im już nawet kilkanaście reńskich, co mu zostały od zarobku.

Razu pewnego, gdy wracał od roboty, spotkał listonosza.

— Który tu między wami jest Gruszka Jan — spytał tenże, zacinając trochę z czeska.

— Já — odrzekł zdziwiony i trochę zaniepokojony Janek — a cóż to takiégo má pán do mnie?

— List.

Zastanowił się, od kogo by mógł być ten list; żona jego przecież nie umiała wcale czytać i pisać; „chybaby się coś niezwykłago zdarzyło, może jakie jeszcze nowe nieszczęście!“ pomyślał i rozerwał kopertę gorączkowym ruchem, choć ostrożnie. Natychmiast zaczął czytać, wymawiając półgłosem słowo za słowem.

„... Józuś nas wcora umar we środę w nocy. Taki ci był biydácek bledziuśki...“

Przestał czytać; potem znów na nowo rozpoczął, ale nie wiele rozumiał; coś, jak zmiarkował, bałamutnie była przedstawiana jego śmierć, to znowu choroba żony, dzień po dniu rosnąca, znów żale nad synkiem, co tak wcześnie opuścił ojca i matkę i braciszków, potem coś o woli Boga, co go chciał zabrać do siebie, wreszcie o jakiejś kartce co ze sądu przyszła.

Czuł się teraz zgnębiony, niemoc owładnęła nim zupełnie, trzymał list przed sobą, litery skakały mu przed oczyma, w głowie mu się mąciło ustawicznie, czytał list raz, drugi i trzeci zaczynając, nie mogąc nic jednak zrozumieć. Krew uderzająca mu falą do głowy paliła mu oczy i skronie, suszyła wargi odbierała mu stopniowo przytomność.

Myślał, że oszaleje!!!

Wreszcie zmęczony, osłabiony, opadły na siłach wskutek tej okropnej męczarni ducha legł bezwładnie na zimnej ławce i tak przeleżał, nie wiedział sam jak długo, zupełnie nieświadomie. Ocuciwszy się z tego chwilowego letargu, zaczął się powoli, trzeźwiejszym już teraz umysłem zastanawiać.

Uginał się pod ciężarem i nawałem nieszczęść, co jak deszcz kamienny na niego spadały. Najmłodsze dziecko mu umiera, dwa inne słabowite, żona chora, jego pozywają przed sąd, a to pewnie o pobicie tego przeklętego wójta, o czem on już dawno na śmierć zapomniał ...ha! to już nad siły! Był nędznym, malutkim robaczkiem, którego depce i miażdży stopa olbrzyma.

Postanowił zaraz tego dnia wyjechać do domu, ale nie pod wpływem męskiej silnej woli ani młodzieńczej doryweczej zachcianki, ale jakby gnany jakiemś okrutnem przeznaczeniem nieszczęścia, co nim rzuca tu i tam-

jak morska fala łódką bezsterową, by ją rozbijać i trzaskać o coraz to nowe skały nadbrzeżne.

Wziąwszy zapłatę za robotę, usiadł na pierwszy pociąg zdążający ku Krakowu — i pojechał.

* * *

Przyłożył do ust flaszkę wódki i przechylił, była pełna. Przyjemnie palący trunek spływał mu w gardło, a błogie ciepło rozlewało mu się odeń po ciele.

Porwał flaszkę próżną i uderzył nią wójta z całej siły w głowę, aż się rozprysła na drobne kawałeczki. Krew, jak źródło, trysnęła wójtowi z czoła.

„Ha, ha! cała sukmana nowiuteńka na nic — zaśmiał się w duchu Jánek.

Lecz nagle jęknął z boleści: Józuś, jego najukochańszy Józuś, ciągnął go jak niegdyś za ubranie, płacząc rzewnemi łzami.

A tłum ludzi trącał go, deptał po nim, kopał go, ale on ciągle wstawał, trzymając się ojca i wołając, jak wtedy:

— A pódźciéż tatusiu!

Roztrącił wściekłym zamachem tłum, a wziąwszy Józka pod ramię, wywijał nożem wokoło a krew czerwona tryszczała nań zewsząd.

Wtem zbliżył się doń wójt i powolnym, lecz żelaznym uściskiem ramion giął go do ziemi, nad Józkiem zaś zaczął się pastwić okrutny lichwiarz, licytator Jánka, wpatrując się w swą ofiarę piekielnym, żmijowym wzrokiem.

Jánek się szarpnął ruchem, w który wlał wszystkie swe siły, l cz daremnie... Opadł zupełnie z mocy, nie usiłując się już więcej wyrywać. Wójt klęknął mu ciężkiem kolanem na gardło i dusił, a lichwiarz siadł mu na piersiach i zapuszczał z dziką, zwierzęcą przyjemnością powoli, coraz głębiej ostry jak brzytew, a kończasty jak igła nóż w samo serce...

Chciał krzyczeć, lecz już nie mógł dobyć głosu.

Czuł, że umiera...

. . . .

Obudził się; zerwał się jak oparzony z pryczy słomianej. Zimny pot spływał mu na czoło. Cała koszula była mokra na nim, jak po deszczu. Zdumiał się i osłupiał, widząc wkoło siebie cztery wilgotne ściany muru, a nad sobą kratę, przez którą wpadała jasna struga światła. Nie wiedział w pierwszej chwili, co się z nim dzieje.

„Aha“! przypomniał sobie, jest w więzieniu.

I znów ponure, ciężkie jak ołów, żrące jak zmora myśli siadły mu na duszę czarnem przygnębieniem.

Nie mógł się otrząsnąć ze strasznego, na wskróś przejmującego wrażenia snu dzisiejszej nocy.

Wrzawa sennej bitki szumiała mu dotychczas w uszach, okropne obrazy przesuwały się jeden po drugim przed jego chorą wyobraźnią, wgryzały się w nią, jak jadowite żmije, jak krwiożercze pijawki. Opędzał się jak mógł, tym dręczącym widziadłom, starał się usilnie wykrzesać ze swej pamięci jakieś weselsze wspomnienia, ale nadaremno: gdy myślał o dość wesołych chwilach z czasów, gdy był jeszcze parobkiem, przychodziła mu zaraz na myśl jego żona, do której chodził wówczas na zaloty, potem zaraz chałupa, dzieci, Józuś, który umarł niedawno, ukazanie się jego we śnie, ach! wszystkie okropne przywidzenia dzisiejszej nocy przeklętej. Gnębiły go i żarły tak bardzo, że już zaczął tracić świadomość ich treści; czuł tylko, że przelatywały mu jedno po drugiem, jak wicher, jak burza, mącąc mu coraz bardziej wszelkie myśli; czuł tylko, że każda taka senna mara rani jego duszę głęboko, że cierpi strasznie...

Rzucił się, jak długi na posłanie, przytknął do niego silnie swą twarz i kołysał się z boku na bok, sądząc, że choć w części przytłumi w ten sposób ból duszy.

Był bliskim obłędu...

. . . .

Z długiego takiego odrętwienia zbudził go jakiś głos.

— Hej! wstawać! — usłyszał kilkakrotnie.

Przetarł oczy.

— Co tam? — spytał, poznawszy dozorcę więzienia.

— Idźcie sobie już do domu; już się wam „siedziba“ skończyła — rzekł tenże żartobliwie.

Jánek uśmiechnął się mimowoli bezmyślnie; wiadomość, udzielona mu, nie wywarła na nim żadnego wrażenia. Był już zupełnie odurzony i znieczulony przebytemi cierpie-

niami. Nie zdawał sobie nawet sprawy, jak długo przesiedział w więzieniu. Zwolna dopiero zaczął sobie przypominać rozprawę, wójta, świadków, sędziego o groźnej minie, potem jednostajne dni, samotnie spędzone. Jaśniejszą tylko chwilą było odwiedzenie go przez dawnego znajomego przyjaciela, z którym żył od dzieciństwa; lecz i ten weselszy dzień zamąciła mu wiadomość o coraz groźniejszej i cięższej chorobie żony, o nędzy jego dzieci.

Gdy wyszedł, owiał go mroźny wiatr, przypominając mu, że w więzieniu doczekał się zimy.

Ciepły, choć cuchnący dech szynku, koło którego przechodził, zatrzymał go przed tego drzwiami. Przystanął na chwilę, namyślając się, czy ma wejść do wnętrza; zagłębił rękę w kieszeni zupełnie machinalnie, — widział bowiem, że nie ma ani centa — wreszcie się zdecydował i wstąpił do szynkowni. W jednej chwili obrzucił ją okiem dokoła, zobaczył dwu już dość „podkierzonych“ gospodarzy, zapijających sprzedaż krowy i rozprawiających głośno z żywą gestykulacyą o smutnych dzisiejszych czasach. Nieco dalej śpiewał rozżalony parobek, widocznie wzięty do wojska, desperacką piosnkę, wywijając pustą szklanicą:

„Nie bedzie nic bedziee! ma lubá wiedziała!
„Kaj sie moja krewkaa bedzie rozlèwała.

Zrobiło się Jánkowi jakoś lżej na duszy. Widział, że nie on jeden nieszczęśliwy na świecie, że są jeszcze inni, co cierpią jak i on, których przemocą wyrywają z ich miłego grona i pędzą gdzieś w pola lub nieznane kraje pomiędzy obcych ludzi... i on przecie był przy wojsku i wie, jak to przykro i tęskno...

— A jak sie mácie Jániee? zagadnął go znajomy mu, szynkujący żyd.

— Ee! biéda na świecie i tyla. Człek to ino skróś tego żyje, coby sie miół cem trópić.

— Alee! c'ho tam bedziecie pletli kosáły opáły! napijcie szie lepi, to was odydźic sthápiénie. Gorzáłecka, thunek, dobhy na...

— Cóż z tego kiej siecka w kiesęni — przerwał mu Jánek.

— Ee! cobyście na tho phytali! co tam phiniądze! oddacie mi jak bedziecie mieli — odpowiedział skwapliwie żyd, uśmiechając się z zadowoleniem, pewny, że mu się ten „thunek“ w dwójnasób później odpłaci.

I nie czekając odpowiedzi, wyniósł ze szafki pełną litrową flachę i nalawszy Jánkowi pierwszy kieliszek, zostawił niby przez zapomnienie i butelkę.

Jánkowi bardzo przypadła wódka do smaku; dawno już jej nie próbował. Drugi kubek nalał sobie z pewnem jeszcze wahaniem, następnie pił już bez namysłu jeden po drugim, aż do dna.

Wyszedł z izby szynkowej oszołomiony, tak, że się nawet dziwił samemu sobie; kiedyindziej byłby dwa razy trzeźwiejszym, wypiwszy tyle co przed chwilą — myślał sobie i czuł, że źle zrobił, pijąc tak wiele. Starał się zabrać jakoś myśli lecz mu to nie szło. Wiedział tylko, że ma iść prosto drogą a zajdzie z pewnością do swojej wsi. Lecz jakby na nieszczęście swe widział, że już kawał porządny w noc, a księżyc tylko czasami nieśmiało wyzierał z pomiędzy podartych w strzępy chmur. Jakaś nieokreślona obawa zaczęła go przejmować.

Po długiej chwili namysłu zdecydował się wreszcie iść — kroczył jednak wolno, zelektryzowany tą dziwną trwogą, z której sobie sprawy zdać nie umiał. Nogi chwiały się pod nim ze strachu i odurzenia trunkiem.

W takim stanie, stając często na drodze, zaszedł wreszcie do rodzinnej swej wsi, sam nie wiedząc, jak długo szedł. Cała wieś była już pogrążona w głębokim śnie; nigdzie nie zamigotało słabe światło z żadnego okna, choć wodził bacznie wkoło oczyma. Dopiero we środku wsi wyjrzały z dwu okien pewnej chałupy dwie jasne strugi światła.

„Ha! to z murowanki wójta!“

Zatrzymał się i zajrzał do wnętrza przez okno. Przy stole siedział rozparty na krześle jego odwieczny przeciwnik, mocno, zdaje się podpity, a obok niego pisarz. Nieco dalej dostrzegł dwu podwójcich. Rozprawiali wszyscy żywo i głośno, wójtowa rozdawała jadło i trunki.

— ...Ee, bo to widzicie, co to znacy — ciągnął wójt — jak sie człek cego dochrapie...

— Na juści tak, tak — potwierdził podwójci.

— Jak sie człek cego dochrapie, to i wszyćko idzie, jak nie wiedzieć co... jak wózek od górki.

— Aną jakzeby to nie — przerwano mu znowu.

— Tak tak! — mówił dalej wójt — tajak i tęn Stachów Jąnek cóz mi zrobiół? I do kozym go wsadziół i biédę klepie, baba mu kiwła, dzieci za pastérzy do gęsi i do krów, a jakby nie to, to jesce kto wié coby było...

Jánek zaciął z wściekłości zęby i zgrzytnął nimi mściwie a oczy łysnęły mu nieprzejednaną nienawiścią w bladem świetle księżycowego blasku. Wzniósł groźnie zaciśniętą pięść ku górze i syknął przez zęby jakieś straszne przekleństwo.

Nagle zaszeleściało coś w jego kieszeni.

W tejże chwili właśnie wpadł mu do głowy szatański pomysł, nasunięty tą okolicznością na myśl.

Zapuścil rękę w kieszeń od sukmany:

— Jest! — szepnął ostro, przejęty mściwą radością; i wydobył z kieszeni... — zapałki!

W duszy jego przeżartej cierpieniem zachichotał na nerwach trunkiem podnieconych chytry szatan zemsty.

Jánek począł się skradać, jak kot, ku stodole, trzymając w ręce pudełko szwedzkich zapałek. Z dzikim błyskiem w oczach zapalił jedną, potem drugą i drżącą ze wzruszenia ręką podkładał zarzewie pod słomianą strzechę; gdy się już na dobre zajęła, odszedł parę kroków i przypatrywał się wzniecającemu się pożarowi z jakąś obłąkaną radością. Wtem przypomniał sobie, że, jeżeli będzie tak dalej stał, to go łatwo bardzo może kto złapać na gorącym uczynku. Jął uciekać od pożaru, a wielka trwoga zaczęła go przejmować. Gnał co sił starczyło, choć nogi zmęczone odmawiały mu posłuszeństwa; nagle doleciał go donośny choć daleki krzyk: „páali siee! gwáłtu ludziee ratujciee! Obejrzał się: fala płomieni bujała w samym środku wsi i buchała ku niebu snopami iskier i kłębami czarnego dymu. W tejże chwili ozwał się jęczący żałośnie dźwięk dzwonu „na jedną stronę“, a wrzawa we wsi powiększała się coraz bardziej.

— O Jezus, Jezus! com já tyz nálepségo zrobiół! á Boże, Boże! — wyrzucał sobie głośno Jánek biegnąc ciągle naprzód, a trwogą dygotały mu wszystkie nerwy i członki, policzki zaś pałały mu chorobliwym ogniem, serce biło jak młotem z przerażenia i zmęczenia, piersi grały chrypką, a przemoknięta do nitki potem koszula chłodziła mu zgrzane ciało.

Chorobliwa wyobraźnia odezwała się w nim na nowo: jakieś, fantastycznych rozmiarów, kształtów i grozy, widziadła wyciągały ku niemu niesłychanie długie a chude ramiona, łapiąc go za ubranie, za czuprynę, podrywając nogi, goniąc, krzycząc za nim, to znów patrząc weń setkami okropnych oczu. Nie wiedział co się z nim dzieje, pędził tylko, jak szalony, starając się napróżno zasłaniać oczy, by uniknąć widoku przerażających mar.

Tak okropnie majaczył na jawie.

Nagle potknął się o wystającą skibę i upadł na zmarzniętą grudę.

Przytulił się do ziemi, nie wstawał, oddał się tylko bezmiernemu żalowi, płacząc rzewnie, jak dziecko. Lecz natura wzięła górę i upomniała się o swe prawa; był znużony do najwyższego stopnia, powoli łagodniały te silne wrażenia i halucynacye coraz więcej ze sobą pomieszane, poplątane, wreszcie to wszystko zlało mu się w duszy w jeden chaos, oraz bardziej jednolity, coraz jednostajniejszy, spokojniejszy, cichszy, cichszy...

Usnał...

Dopiero mroźny ranek zbudził go z głębokiego snu. Rozejrzał się dokoła; w pierwszej chwili nie mógł się połapać gdzie jest; lecz zaraz potem przypomniał sobie przebytą straszną noc.

„Może to tylko sen ten okropny pożar!“ Lecz nie! zgliszcza kopciły jeszcze dymem.

Bezgraniczna rozpacz przepełniała mu duszę; dopiero teraz pojął całą doniosłość faktu i grozę położenia.

Zwątpił już o wszystkiem. Myślał całkiem na zimno o środkach samobójstwa. Nagle usłyszał poza sobą szybkie kroki, doganiające go z pospiechem. Obejrzał się i mimowoli zadrżał, zoczywszy... żandarma!

— Hej! hej! nie widzieliście tu gdzie, czy kto nie... — odezwał się tenże, lecz w jednej chwili przerwał, bo zwalane ziemią ubranie Jánka wydało mu się wysoce podejrzanem.

— ... A możeś to ty bratku spalił dziś w nocy wójtowi chałupę? — zapytał, chwyciwszy go silnym, żelaznym uściskiem za ramię i patrząc badawczo w oczy.

— Já — odrzekł Janek dosyć obojętnie i z rezygnacyą, jakby chciał powiedzieć: „wszystko mi jedno!“

Żandarm widocznie był zaskoczony taką odpowiedzią; nie spodziewał się jej. Chcąc jednak udać, że to na nim wcale wrażenia nie wywarło, odpowiedział po dobrej chwili namysłu:

— Ano dobrze! pojedziesz sobie na Wiśnicz, bratku.

I szli dalej w milczeniu, nic do siebie nie mówiąc.

Po twarzy Jánka stoczyła się duża, pełna, gorąca i cicha choć wymowna łza czysta; boleść, cierpienia, cichą rozpacz, rzekłbyś wszelkie uczucia, jakie mu duszę przepełniały, wlał w tę biedną, samotną, tęskną łzę...

Ha! ha! ha! a może to tylko zimny pot chamskiego strachu!!?

Stanisław Orczyk.

KORESPONDENCYE.

Z Ukrainy.

Kochani Koledzy! Piszę do Was z dalekich kresów dawnej Rzeczypospolitej Polskiej, a chociaż kwestye, jakie mam zamiar w niniejszej notatce poruszyć, mniej obchodzą ogół galicyjski, jednakże sądzę, że nie odmówicie jej miejsca na szpaltach swego Pisma, a to w nadziei, że nie jeden jego egzemplarz zabłądzi i tu na te kresy, a słowa moje przeczytają ci, których one bezpośrednio dotyczą i obchodzą.

Chcę tu powiedzieć słów parę o optymizmie politycznym naszego ogółu, a chociaż zamało tu jest miejsca, aby obszernie i wyczerpująco omówić tę kardynalną wadę właściwą naszemu narodowi, jednak paru jaskrawymi przykładami, których świadkiem byłem, a które na tem miejscu przytoczę, postaram się udowodnić, jak szkodliwem jest przyjmowanie na wiarę pantoflowych wiadomości politycznych, jakie rozpuszczają między naszą pseudo-inteligencyą ludzie naiwni, lub, co częściej się zdarza, ludzie złej woli.

Zapewne wszystkim wiadomem jest, że tak zwane „prądy ugodowe“, szczególniej tu na Ukrainie, powstały przed kilku laty w większej części z powodu rozpuszczania mniej lub więcej fałszywych pogłosek o „liberalnym nastroju“ młodego cara, o „mądrych i sprawiedliwych“ rządach, jakie nastąpić miały po wstąpieniu jego na tron i t. p. Dziwy sobie opowiadano po dworach, dworkach i zaściankach: „car chodzi po ulicach Petersburga bez konwoju!“ (rzecz w Rosyi niesłychana!) „W czasie pobytu swego w Kijowie podawał ręce spotykającym go przedstawicielom ukraińskiej szlachty polskiej; w Warszawie będąc, ignorował wyraźnie rzeszę urzędniczą, a przestawał li tylko z inteligencyą polską“! opowiadano, jak (ach co za rozczulająca scena), przejeżdżając ulicą w Warszawie „bez żadnego konwoju“ w otwartym powozie i widząc, że staruszka jakaś pośliznąwszy się upadła, car wyskoczył z powozu i sam własnoręcznie ją podnosił, „przemówiwszy piękną polszczyzną“ etc. Słuchając tych wszystkich baśni, bezczelnie rozpuszczanych przez łotrów, a koloryzowanych i powiększanych przez różnego rodzaju poczciwców, rozczuleni „szlagoni“ gotowi byli krew wylać za tak miłościwego i liberalnego „króla polskiego“, jak go nazywali z dumą i głosili z pokorą, że pokutować winniśmy za grzechy dawne, zdobywać sobie „zaufanie“ u rzadu, a wszystko nam danem będzie. I czekali spokojnie a z wiarą głęboką na owe „łaski“, jakie miały na nich spłynąć z góry.

Spotykałem się w owych czasach z jednym inteligentnym i uczciwym ugodowcem (dwa te przymioty b. rzadko u ugodowców chodzą w parze), a na wszystkie jego wywody i przewidywania zadawałem zawsze jedno pytanie: „gdzież są owe łaski? Czyście mało jeszcze nalizali się jego łapy, czyście się mało naupokarzali przed nim? gdzież zapłata?“

„Cierpliwości, lada chwila ich doznamy; trzeba mieć i dla nich choć trochę wyrozumiałości,“ odpowiadał mi zawsze z mądrą miną; aż pięknego pewnego poranku (w czerwcu 98 r.) spotyka mię z rozjaśnioną twarzą:

„Czytałeś świeże gazety?“ — „Nie“. — „Otoż masz! Niemasz już w Rosyi ucisku religii! wolność wyznania!“

„Co? co takiego?!“

„No, co — przeczytaj ukaz o unitach. Z mieszanych małżeństw synowie idą za ojcem — córki za matką; wogóle sprawa unicka załatwiona została mądrze i sprawiedliwie. Jest to pierwszy krok do zniesienia wszelkiego religijnego ucisku, wszelkich różnic,“ i dalej

wywodził najróżowsze wnioski, a tak się zatokował, żem mu ledwo zdołał przerwać pytaniem:

„Ej, panie! a przeczytałeś pan ukaz ów dokładnie, od deski do deski?“

„Właściwie nie przeczytałem, ale przejrzałem; zresztą wszyscy mówią o tem...“ „to jakiem że prawem rozpuszczasz pan podobne wieści!“ zawołałem oburzony do głębi, i co myślicie — obraziłem go tem śmiertelnie.

Biegnę, kupuję numer gazety, czytam i złapałem się za głowę: tak rzeczywiście sprawę unitów załatwiono ostatecznie — poszczególne sprawy oddano na rozpatrzenie i „usmatrienije“ czyli pastwę prawosławnej władzy duchownej, a skutkiem ukazu tego wiecie zapewne o tem, czytelnicy, „opornych“ polskich unitów powsadzano do więzień i powysyłano do Rosyi, skonfiskowawszy grunt i dobytek... Ale o tem u nas nikt się nie dowie, chyba przypadkiem, bo cenzura milczeć każe prasie o takich rzeczach, a poczciwe szlagony nasze wzdychają tymczasem i z uwielbieniem mówią o niezmierzonej dobroci „cesarza M. II. króla Polsk.,“ który tak pamięta i tak się troszczy o poddanych swoich.

I tak się dzieje u nas z każdym nowym ukazem, z każdem nowym rozporządzeniem. Każdy nowy bicz ogół nasz pół-inteligentny przyjmuje za łaskę i kogo on nie dotknie bezpośrednio, dla tego pozostaje łaską na zawsze, bo prasa milczy, bo tu nie wolno o tem co boli mówić, ale wolno za to i nie tylko wolno — na tem się robi nawet dobre interesa finansowe — rozpuszczać fałszywe wieści, które mają podsycać ów „ożywczy strumyk,“ jak nazwał Imeretyński ugodę.

Przed paru tygodniami spotykam na kolei jednego z licznych swoich znajomych, należącego w stosunku do Rosyi do partyi t. zw. „niezdecydowanych“ jest on w bardzo dobrym humorze. Po paru stereotypowych przywitaniach pyta mię: „Czytujesz gazety? wiesz, co się dzieje na świecie?“

„Czytuję. Chodzi ci zapewne o Dreyfusa...“ „Do licha z Dreyfusem! To ty nie wiesz co się stało w Królestwie?“ mówi z rozjaśnioną i tajemniczą miną, uśmiechając się protekcyonalnie.

„Cóż się szczególnego stać mogło?“

„A wstydź się! jakże możesz tego nie wiedzieć? Toż ogromnie doniosła rzecz! „Język polski,“ ciągnął dalej wyraźnie i dobitnie — „ma być językiem wykładowym we wszystkich szkołach w Królestwie, język“... Nie dałem mu skończyć, bo mi aż włosy powstały na głowie.

„Nieprawda!“ krzyknąłem z uczuciem, jakiego wytłumaczyć nie potrafię.

„Jakto nieprawda,“ odparł urażony; „sam czytałem ukaz, a tam stoi wyraźnie...“ „Gdzie czytałeś?“ „W Kraju“ petersburskim w ostatnim N-rze“.

„To bezczelna celowa plotka „Kraju“ mówiłem, nie mogąc się uspokoić: „ale przysięgnę, że ty jeszcze dziwaczniej ją przekręciłeś!“

Na dowód przytaczam poniżej ową notatkę „Kraju,“ poprzedzającą znany zapewne czytelnikom obszerny artykuł:

„Dowiadujemy się, że wskutek starań Kuratora Warszawskiego Okręgu naukowego, gorąco popartym przez Ks. Imeretyńskiego, nauka języka polskiego w szkołach średnich w Królestwie P. ulegnie gruntownej zmianie. Wykłady we wszystkich klasach prowadzone będą w języku polskim*.)

Nauka języka polskiego ma być objętą planem i t. podobne brednie, o których „Kraj“ „dowiaduje się.“

Rosyjskie dzienniki powtórzyły tę baśń za „Krajem“, dodawszy zastrzeżenie: „polskija gaziety piszut;“ a społeczeństwo, a raczej ukraińskie szlagony, cuda sobie z tego powodu o dobroci cara i jego łaskach opowiadają...

Grzymalita.

Z Cieszyna.

Kto nie miał sposobności bawienia dłużej na naszej śląskiej ziemi i poznania bliżej tutejszych stosunków politycznych, ten nie może mieć dokładnego wyobrażenia o walkach narodowościowych, które się tu na kresach bezustannie rozgrywają. Gnieceni i uciskani przez wrogie nam żywioły niemieckie i czeskie, musimy my Polacy na swojej ziemi na każdym kroku walczyć i dopominać się o swoje prawa, każda nazwa miejscowości, ulic, każdy napis na sklepach — wszystko musi być wywalczone. Lecz ucisk ten nie zabija w nas polskości — owszem wywołuje wprost przeciwny skutek: nawet obojętne dotąd serca polskie pobudza do coraz

*) Mowa o wykladach języka polskiego (przyp. zecera.)

silniejszego oporu, — do nienawiści wrogów naszych i ukochania wszystkiego co swoje.

Najwięcej ucierpiała i cierpi na tych przykrych stosunkach młodzież nasza, zniewolona do kształcenia się w szkołach niemieckich.

To też kiedy przed 5 laty niespełna stanęło w Cieszynie — wspólnemi siłami całej Polski zbudowane — gimnazyum polskie, pierwsze na Śląsku, — powitaliśmy je wszyscy z radością bez granic, upatrując w niem pierwszy zadatek szczęśliwej przyszłości narodowej — a nowa wiara i otucha wstąpiły w serca nasze. Na nic się nie zdały wszelkie przepowiednie rychłego upadku tego zakładu, na nic wszelkie nań zamachy: gimnazyum to kwitnie i rozwija się najpomyślniej i niedługo wyda całe zastępy młodzieży wychowanej w duchu nawskroś polskim, — której ideą będzie: „Odzyskanie wolności i niepodległości Polski!“ — W bez porównania gorszym stanie znajduje się u nas młodzież żeńska. Smutne to i bolesne, lecz niestety prawdziwe, że dziewczęta śląskie — z małymi wyjątkami naturalnie — mało mają poczucia narodowości; jedna i druga Ślązaczka przyznaje wprawdzie, że jest Polką, — bo rodzice jej nie znają innego prócz rodzinnego języka — nie mówi tego bynajmniej z przekonania. Większość jednakże, nauczywszy się po niemiecku, zapiera się swej narodowości, — wstydzi się rodziców polskich, używa tylko obcego języka — szydząc i naigrawając ze wszystkiego, co polskie. Lecz cóż w tem dziwnego?

Trudno przecie ukochać sercem i duszą to, czego się nie zna! W niemieckich szkołach nikt nie zaznajamiał nas z bohaterską naszą historyą, — wysoką cywilizacyą i przepiękną literaturą! Tam nikt nie wszczepiał w nas czci i uwielbienia dla świetnej przeszłości — i wiary w przyszłość, — nikt nie uczył miłości języka i ojczyzny! W serca nasze młodociane nie wszczepiano tam żadnych szlachetniejszych, wznioślejszych uczuć! Nic, tam czego innego nas uczono: pogardy i nienawiści dla języka polskiego — chłopskiego — i o wyższości kultury germańskiej, potędze i wielkości cesarstwa niemieckiego. To też te dziewczęta, które z domu nie wyniosły ustalonych przekonań, opuszczały szkołę z pojęciami całkiem wypaczonemi, dla sprawy narodowej trzeba je było uważać za stracone.

Coraz dotkliwej dawał się uczuć brak polskiej szkoły dla dziewcząt, gdzieby kształcone w języku macierzyńskim, stały się prawdziwemi kobietami — Polkami. Boć przecie powiada poeta:

,,Oj nie zginęła jeszcze Ojczyzna,
Póki niewiasty tam czują!
Bo z ich to serca płynie trucizna,
Którą wrogowie się trują!“

Już z założeniem pols. gimn. kilka osób z naszej inteligencyi podjęło myśl utworzenia choćby prywatnych kursów dla młodzieży żeńskiej. Myśl ta zrazu natrafiła na .yle przeszkód i trudności, że o rychłem uskutecznieniu jej nie mogło być i mowy. Mimo to jednak nie upadła, owszem trwała dalej, znajdując coraz liczniejszych zwolenników.

W tym roku dopiero utworzył się osobny komitet, dzięki któremu jakoteż i gorliwemu zajęciu się tą sprawą pp. profesorów gimn. polsk. — 18 października otwarte zostały nareszcie w Cieszynie prywatne kursa dla dziewcząt. Zapisały się na nie odrazu 23 uczennice, — tęskniące i marzące od tak dawna o nauce w języku ojczystym — a coraz żywsze zajęcie, jakie wykłady wzbudzają u wszystkich słuchaczek, a niemniej i ogółu, wróży kursom tym najpomyślniejszą przyszłość.

Kursa te obejmują 2 lata nauki, a w zakres programu wchodzą następujące przedmioty, których wykładania podjęli się łaskawie pp. prof. gimn. polsk.: literatura, historya i język polski, chemia, fizyka, hygiena, pedagogia i nauka o gospodarstwie domowem. Da Bóg, że przyczynią się one niemało do podniesienia poziomu umysłowego naszych dziewcząt i do rozbudzenia w nich uczuć patryotycznych.

Miejmy nadzieję, że wyjdą z nich pierwsze prawdziwe Ślązaczki - Polki — które nauczywszy się żywo odczuwać niedolę narodu, wspólnie z bracią swą staną do walki z wrogiem i choć w części przyczynią się do zwycięstwa, które nad nim odnieść musimy i odniesiemy, boć

,,Próbę grobu my odbyli,
Prawem naszem — Zmartwychwstanie.

Ślązaczka.

Noc nad morzem.

I

Noc. Na niebie skrzą gwiazdy. Z niebieskiej
[wyżyny
Księżyc drżącemi światły etery roztrąca
I, na toń morską padłszy niby lampa tląca,
Dzierżga blaski w zamglone błękity głębiny...

I cicho... kędyś z dali, gdzie ocean siny
Wieńczy piana dźwięcznemi muszlami grająca,
Płyną skargi tajemne, których szmer zamąca
Tę uroczystą ciszę północnej godziny...

I jest ci, jakby w morskiem zwierciedle
[odbity
Trwożył cię własny obraz, kołysany falą...
I jest ci, jakbyś musiał w te jasne błękity
Słać skargi wraz z falami, co się ze snu żalą,

I korzysz się przed Bóstwem, które w takiej
[ciszy
Lotne skrzydła rozpina i modlitwy słyszy...

II

Nocy! Cicha, jasna, pogodna nocy!
Czem twa piękność z każdym się dniem od-
[mładza?
Wzdychające wonią jaśminy muskasz
Drżącym promieniem;

Żywe srebro sączysz w źródełka zdroje,
Z melodyjną piosnką skaczące między
Głazy; w kielich kwiecia wonnego wnikasz
Drżącym promieniem;

Balsamiczną rosę na zeschłe źdźbełka
Siejesz, w każdej kropli wzniecając gwiazdkę,
Co się w cudną tęcz rozbłyskuje, nęcąc
Drżącym promieniem;

Lecz najsłodszą rosę, o piękna nocy,
Lejesz w młodą, smutną, cierpiącą duszę!
O, jak rajsko świecisz mi w mrok tęsknoty
Drżącym promieniem!

M. H. S.

Bibliografia.

Nędza Rosyi w cyfrach. Napisał Hannibal. Wyd. „Krytyki". Kraków 1900.

Europa podziwia wielkość i potęgę Rosyi, zachwyca się utworami jej znakomitych pisarzów, ale niestety, za często zapomina o barbarzyńskim charakterze rosyjskiej gospodarki społeczno-politycznej. Wsteczne żywioły w Europie zachodniej widzą nawet w Rosyi wzór godny naśladowania, modłę, podług której należałoby ukształtować społeczeństwo. A i w Galicyi nie brak ludzi — a są nimi nie tylko moskalofile rusińscy — którzy wyraźnie lub półgębkiem chwalą knutowładztwo.

Co zaś najsmutniejsza, to to, że nawet wśród żywiołów postępowych i demokratycznych przebiegają prądy sympatyi do Rosyi. Napada się wprawdzie na carat despotyczny, ale z powodu nieznajomości stosunków idealizuje się „społeczeństwo" rosyjskie. Tak bardzo się idealizuje, że doprawdy aż zdziwienie bierze, czemu w tak wzniosłem społeczeństwie istnieje tak plugawy rząd...

Ci, którzy znają stosunki rosyjskie, powinni energicznie pracować nad rozsiewaniem wszelkich takich złudzeń i fałszów. Jest to i dla nas, polaków, bardzo ważne: bo — powtarzamy — i myśmy się nie ustrzegli zarazy moskalofilstwa. Mamy je nawet w różnych odcieniach: od chamsko-bezczelnego, do głupio-naiwnego — to ostatnie przez wzgląd na Tołstoja gotowe jest Rosyi wybaczyć — Murawiewa...

Uwagami temi poprzedzamy kilka słów o broszurce Hannibala, która odsłania straszną, gnijącą ranę na ciele społecznem Rosyi — bezbrzeżną nędzę jej ludu pracującego. Wobec obrazu tej nędzy bledną nawet jaskrawe barwy przysłowiowej nędzy galicyjskiej. A chwalcy caratu mają tu twardy orzech do zgryzienia: bo nie ulega wątpliwości, że winę tej nędzy przypisać należy barbarzyńskiej gospodarce społeczno-politycznej, która w Rosyi panuje: strasznej ciemnocie ludu, zacofanemu systemowi kultury rolnej, drapieżnemu systemowi opodatkowania, niesłychanym zdzierstwom i bezprawiom urzędników itd., itd.

„Nędzę Rosyi" autor ilustruje całym szeregiem wymownych faktów. Wielka śmiertelność, nader mała konsumcya zboża (na głowę obliczona), stale wzrastające niedobory podatkowe, peryodyczne głody itd., itd., wszystko to składa się na ponury, ale prawdziwy obraz. Zupełnie też słuszny jest wniosek autora, że póki nie zmienią się zasadniczo stosunki polityczne w Rosyi, nie ma co myśleć o poprawie bytu gospodarczego jej ludności.

P. Hannibal zwraca w końcu uwagę na okoliczność bardzo ważną: oto nienasycony w swej chciwości carat, wobec ciągle wzrastającej nędzy Rosyi, coraz bardziej musi wysysać wyżej ekonomicznie rozwinięte „kresy“. Polsce więc grozi spotęgowany wyzysk ekonomiczny przez Rosyę — a to jest jeden argument więcej za oderwaniem się od tego państwa.

Światło. Czasopismo popularno-naukowe. Organ Polskiej Partyi socyalistycznej. Wychodzi raz na kwartał. Londyn.

Kwartalnik ten wychodzi już drugi rok, dobrze spełniając swoje zadanie rozpowszechniania wiedzy społecznej wśród mas. Ostatni Nr. (7-y) zawiera treść następującą:

Ludwik Waryński (z portretem), B. A. J. — Solidarność a walka o byt, M. Luśnia. — Konstytucya szwajcarska, St. Os...arz. — Syndykaty przemysłowe, W. Piotrowski. — Stan społeczeństwa polskiego w okresie 1796—1805 r., J. Wierzba. — Socyalizm w Argentynie i Brazylii. B. A. J. — Drobne Notatki.

Polecamy pismo to każdemu, kto interesuje się sprawami społecznemi. Adres Redakcyi: Józef Kaniowski, 67 Colworth Road, Leytonstone, London N. E. Prenumerata roczna wynosi 80 centów austr.

Kronika.

Wspomnienia pośmiertne. Śmierć usunęła z pola pracy społecznej trzech ludzi bardzo zasłużonych. Zakres ich działalności był odmienny, różnili się wiekiem, stanowiskiem, może i przekonaniami — ale wszystkich ożywiało jedno uczucie: miłość dla ludu pracującego, wszystkim jeden przyświecał ideał: wyzwolenie ludu z więzów wszelkiej niewoli.

Bolesław Hirszfeld był dzielnym i zasłużonym pracownikiem w dziedzinie oświaty ludowej w zab. rosyjskim. Kto wie, jakie niesłychane trudności rząd moskiewski gotuje najniewinniejszym nawet próbom w tym kierunku, kto wie, jak lud nasz łaknie chleba duchowego, ten schyli ze czcią głowę przed cichą, niepozorną, a tak pożyteczną pracą ś. p. Hirszfelda.

Janusz Tański, inżynier, był z przekonań socyalistą, jednym z założycieli b. Związku robotniczego, organizacyi, która działała w Kongresówce od r. 1890 do 1893 (poczem wraz z innemi ówczesnemi grupami socyalistycznemi ustąpiła miejsca Polskiej Partyi Socyalistycznej). Tańskiego nie ominął zwykły los rewolucyonistów zab. ros. — pobyt w X. pawilonie cytadeli warszawskiej, a później zesłanie do Rosyi. Nie złamało to hartu jego przekonań, którym do śmierci pozostał wierny.

Antoni Mańkowski, drukarz, w młodzieńczych już latach przejął się zasadami rewolucyjno-demokratycznemi, które w niego wpoił Julian Gosslar (stracony w Wiedniu przez rząd austryacki w r. 1852). Brał czynny udział w powstaniu 1863 r., potem, wróciwszy do Galicyi, nie spoczął na wawrzynach, zamienił tylko miecz na lemiesz pracy pokojowo-kulturalnej. Należał do zastępu tych czcigodnych ludzi, jak Bolesław Limanowski, Jarosław Dąbrowski, Walery Wróblewski, Waleryan Mroczkowski (Ostroga) i inni, którzy po powstaniu dawną ideę rewolucyjną ożywili nowym czynnikiem społecznym. Antoni Mańkowski był jednym z pierwszych socyalistów polskich i aż do śmierci (umarł w 63-im roku życia) pracował niezmordowanie zarówno w organizacyi fachowej zecerów, jak i w partyi socyalistycznej, której był jednym z kierowników. Nawet przeciwnicy polityczni oddają hołd pamięci tego człowieka, którego charakter był nieskazitelny i jak łza czysty.

Pogrzeby wszystkich trzech były piękną manifestacyą czci i żałoby. Młodzież i robotnicy w Warszawie odprowadzili na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki Tańskiego i Hirszfelda pod czujną eskortą żandarmów, policyi i szpiegów. Na pogrzebie Tańskiego aresztowano dwadzieścia kilka osób. Za śmiertelnemi szczątkami Mańkowskiego szło kilka tysięcy osób; 29 wieńców świadczyło o dobrej i trwałej pamięci, jaką zmarły po sobie zostawił. Wszystkie stowarzyszenia robotnicze we Lwowie i partya socyalistyczna galicyjska złożyła wieńce; powszechną uwagę zwracał na siebie wieniec cierniowy Polskiej Partyi Socyalistycznej zab. ros. Wieniec „Zjednoczenia, Stow. kształcącej się młodzieży“ nosił napis: „Bojownikowi za wolność narodową i społeczną“. „Postępowa młodzież techniczna“ złożyła wieniec z napisem: „Rewolucyoniście polskiemu“. Nad grobem w imieniu młodzieży przemówił w pięknych słowach kol. Borowiec.

Cześć pamięci zmarłych! A my, żywi, idźmy w ich ślady...

Z Rzeszowa. Młodzież gimnazyalna rzeszowska urządziła w sobotę dnia 25. listopada uroczysty wieczorek ku czci Adama Mickiewicza. Wieczorek wypadł wspaniale. Uczniowie

dołożyli doń wszystkich sił, to też wykonanie nie pozostawiało nic do życzenia. Dziwnem jednak co najmniej, jeżeli już nie wprost godnem skarcenia, musi się wydać zachowanie władz szkolnych wobec tej uroczystości: do każdego punktu programu mieszali się profesorowie; sam dyrektor nawet chodził na poufne posiedzenia komitetu urządzającego wieczorek, no — i co naturalnie za tem idzie — przeprowadzał wszystko, co chciał, ograniczając tem samodzielność uczniów, układając program według swego widzimisię; komicznym natomiast po prostu musi się wydać jego zakaz oklaskiwania występujących w uroczystości mickiewiczowskiej, co, rozumie się, miało wręcz przeciwny skutek, bo słuchacze nie szczędzili dowodów uznania, darząc każdy punkt programu rzęsistymi okłaskami.

Program wypełniły:

Odczyt o Filaretach i Filomatach; produkcye orkiestry gimnazyalnej oraz chóru wyćwiczonych doskonale pod batutą kol. B. Grano więc aryę z opery „Belizar", „Reunion", polonez H. Szulca i „Bluettes" z opery „Halka", chór męski śpiewał „Szeroki las", dumkę Surczyńskiego, „Krakowiak" Moniuszki i „Nec dusman", pieśń serbską. Kol. H. deklamował Redutę Ordona, a „Dziady" część III. scenę I. odegrała świetnie grupa uczniów klas VII i VIII. Dyrektor zakończył wieczorek krótką przemową.

Uniwersytet ludowy im. A. Mickiewicza prowadzi w dalszym ciągu swą pożyteczną i owocną działalność. Na nic się nie zdały wrogie agitacye różnych panów Gajewskich i innych Tulliów po „Przeglądach", „Ruchach katolickich" i dewockich czytelniach. Spełzły na niczem najlepsze zamiary Rady szkolnej, która odmówiła sał na wykłady i zabroniła młodzieży szkolnej słuchania „przewrotowych" mów o fizyce, astronomii itd. Zakaz Namiestnictwa zbierania składek na cele Uniwersytetu ludowego, zakaz, oparty na oryginalnym motywie, jako i tak za dużo pieniędzy wyciąga się z kieszeni publiczności na różne cele, funduszów Uniw. nie uszczuplił. Na złość różnym gasicielom światła, Uniw. lud. żyje i rozwija się. Oddział krakowski rozpoczął w tym semestrze swoją działalność; na prowincyi wykłady, słuchane przez bardzo liczną publiczność, odbywają się w Stanisławowie, Jarosławiu... W końcu grudnia wyjdzie 2-gi Nr. organu Uniw. lud. „Wiedza dla wszystkich".

We Lwowie usiłuje współzawodniczyć z Uniw. lud. urzędowa nauka, która stworzyła „Wykłady powszechne". Dobre i to, że pp. profesorowie ocknęli się ze swojej śpiączki i naśladują niecnych „radykałów", którzy tak radykalnie walczą z ciemnotą. Uniw. lud. nic nie zaszkodzą, a cośnie coś dobrego mogą zdziałać.

Naturalnie, że dla „Wykładów powszechnych" podwoje sal szkolnych stanęły otworem — a podobno i subwencyę ministeryum dało czy dać obiecało. Ciekawem jest, że, zatwierdzając program wykładów tych, ministeryum postawiło warunek, by i teologia do zakresu nauk była włączona. Jak widać, w Wiedniu bardzo dbają o nasze religijne wykształcenie.

Oryginalna trójca. Przeciwko sprowadzeniu zwłok Słowackiego do kraju wystąpił: stańczykowski „Czas", narodowo-demokratyczny „Przegląd wszechpolski" i p. Stanisław Pieńkowski w modernistycznem „Życiu". Trójca ta nie zgadza się ze sobą co do motywów protestu ale utrzymuje zgodnie, że lepiej pozostawić *tymczasem* Słowackiego na cmentarzu paryskim. „Czas" nie chce Juliusza w kraju, bo... bo Galicya skompromitowała się sprawą Kasy oszczędności!! Niedorzeczzość motywu jest tu zbyt widoczna i nie może posłużyć nawet za listek figowy dla osłonięcia antypatyi do poety, który wołał: „Polski lud to ojciec twój!", „Krzyż twem zbawieniem jest, twa zguba w Rzymie". „Przegląd Wszechpolski" inne ma argumenty, przyzwoitsze, ale równie słabe. Prochy Słowackiego należy przenieść do Polski, dopiero gdy będzie wolna i niepodległa... Dlaczego? Wszak właśnie zwłoki Słowackiego w kraju będą symbolem niezgasłego dążenia naszego do niepodległości; wszak my dziś, błąkając się po pustyni niewoli, bardziej potrzebujemy Słowackiego, niż wtedy, gdy wejdziemy już do „ziemi obiecanej" wolności. Drugi argument, że Słowacki nie jest i nigdy nie będzie poetą „popularnym", również nie wytrzymuje krytyki. Bo wystarcza, że Słowacki jest wielkim poetą, że sława jego jaśnieje coraz promienniej, że wieszcz ten, chociaż mało „popularny", jest bardzo demokratyczny i rewolucyjny. A wreszcie argument, że Słowacki sam nie chciałby spoczywać wśród grobów królewskich... A gdzież mamy pochować tego króla-ducha, który swojem towarzystwem napewno zaszczyt królom wyświadczy? Gdzież, jeśli nie obok Mickiewicza?...

P. St. Pieńkowski wreszcie występuje z protestem w imię świętych i nieodwołalnych praw — nadętego frazesami pęcherza. Oto mała próbka: „Precz! Precz! Szatanom oddajcie tę sprawę, albo aniołom, ale niech wasze „z głębokim szacunkiem" ręce zimne nie dotykają podziemnych płomieni!" He, he... Szatanom albo aniołom... A może go Wam odstąpić, o, „nagie dusze", byście nad jego grobem w noc księżycową urządzali sprośne tańce wiedźmowskie?...

Wiec techników. Dnia 13 listopada odbył się na tutejszej politechnice wiec techników. Najważniejszym punktem porządku dziennego była sprawa stosunków naukowych w szkole politechnicznej. Wykazano potrzebę wprowadzenia całego szeregu reform w programie i wybudowania trzeciego gmachu wobec ogromnego napływu słuchaczy. Rektor Niementowski w swojej przemowie zaznaczył, że grono profesorów oddawna stara się o urzeczywistnienie wielu podniesionych kwestyi, ale na drodze im stoi do pewnego stopnia nieprzychylne zachowanie się rządu centralnego, który nie życzy sobie rozwoju polskiej politechniki.

Następnie został wybrany komitet, który ma się zająć sprawą wyjazdu słuchaczy na przyszłoroczną wystawę w Paryżu.

Musimy zaznaczyć, ży doniosłość spraw i stanowisko, jakie zajął teraźniejszy Rektor względem słuchaczy, spowodowały, iż wiec ten bardzo się różnił od poprzedniego, odbytego w marcu, na którym powstał tak bolesny rozłam między słuchaczami a profesorami.

Wiał nad wszystkimi jakby duch pojednawczy nawołujący do wspólnej pracy około naszej jedynej polskiej politechniki.

Wymowne cyfry. Personal wszystkich średnich zakładów naukowych (21 gimn. klasyczne, 6 progimnazyów, 2 szkoły realne i 1 szkoła rzemiosł) *warszawskiego okręgu naukowego* składa się w r. b. z 512 osób: prawosławnych 340, Polaków katolików i ewangielików — 111, Niemców ewangielików 33, Niemców katolików 1, Francuzów katolików — 18, Francuzów ewangielików 5, izraelitów 4. Wszyscy Polacy, z wyjątkiem kilku nauczycieli języka polskiego, otrzymali nominacye *przed r. 1885*. Nauczycieli moskali jest zatem 3 razy więcej, niż polaków, a i ci są pozostawieni „na wymarcie".

Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie jest otwarte zawsze rano i to tylko 2 razy w tygodniu. Młodzież szkół średnich nie ma więc sposobności widzenia zabytków cennych, złożonych w tem Muzeum. Może zarząd zechce uchwalić godziny zwiedzania, z którychby i młodzież korzystała. Jak podniósł już jeden z dzienników krakowskich, nie wolno młodszym zwiedzać Muzeum bez towarzystwa starszych — czyż nie możnaby zmienić tej ustawy, która szczególnie dla uczniów biednych lub mieszkających „na stancyi" nie jest dogodną? Przecież ani wyrobnik lub robotnik, ani utrzymujący „stancye" nie mogą czasu tracić na towarzyszenie uczniom w zwiedzaniu Muzeum.

Wojsko krakowskie upadło! Słynne wojsko gimnazyalne zakończyło swój chwalebny żywot. Nad śmiercią jego biada w nieutulonym żalu cały korpus jeneralny (Corps-comando) z ministrami wojny na czele. Zacne to wojsko pozostawiło po sobie: trochę serwilizmu, wiele kokard i wstęg, regulaminy słynne. Cześć jego pamięci!

Oświata. Miesięcznik poświęcony zagadnieniom wykształcenia, czytelnictwa i samouctwa, pod kierunkiem W. M. Kozłowskiego.

Z radością witamy pojawienie się tego pisma, które niejedną kwestyę samoukowi wyjaśni, niejedną da mu wskazówkę pożyteczną. Dotychczas wyszły 2 Nry „Oświaty". Z artykułów ważniejszych wymieniamy następujące; „Co znaczy oświata", „Inteligencya i wykształcenie", „Indywidualizm i jego granice". Oprócz większych artykułów, „Oświata" umieszcza autoreferaty, sprawozdania z nowych książek i ,,korespondencye z czytelnikami". Ten ostatni dział zawiera odpowiedzi Redakcyi na pytania, dotyczące spraw wykształcenia.

Numer okazowy „Oświaty" dołączamy do niniejszego Nru ,,Promienia", jako dodatek bezpłatny dla stałych naszych prenumeratorów. — Adres ,,Oświaty' : Szlak 35 w Krakowie.

Sekcya oświaty. Od wielu już lat tłumy wychodźców opuszczają kraj ojczysty, aby na obczyźnie szukać chleba i lepszej doli. Liczba ich wynosi obecnie co najmniej 2 miliony. Obowiązkiem społeczeństwa naszego jest dbać, by wychodźcy nie wynaradawiali sią, nie tracili związku z ziemią ojczystą, słowem, nie byli dla nas siłą zmarnowaną. Dlatego też bardzo ważnem zadaniem jest szerzyć wśród wychodźców oświatę narodową przez zakładanie szkół, czytelni, księgarni, czasopism itd. Zwłaszcza wdzięcznem polem do działania w tym kierunku jest stan brazylijski Parana, gdzie polacy osiedli zwartą masą.

Świeżo przy lwowskiem Tow. Handlowo-Geograficznem założona „Sekcya oświaty w koloniach polskich“ podjęła się ważnych tych zadań. Należy ją energicznie poprzeć. Składka członkowska wynosi tylko 1 zł. rocznie. Adres: Wacław Żmudzki, Bank Zaliczkowy we Lwowie, ul. Hetmańska.

Pruska sprawiedliwość. Nauczyciela ludowego w Tomicach, Wiśniewskiego, który stanął przed sądem oskarżony o niemiłosierne katowanie dzieci przy nauce języka niemieckiego — władze pruskie uwolniły. Żeby zaś nie było najmniejszej wątpliwości, że wyrok słusznie wydano i że cała sprawa była „intrygą polską“, sławetny wykonawca pruskiej sprawiedliwości skazał nadto świadków katowania dzieci: p. Szmyta, redaktora „Wielkopolanina“ na grzywnę 50 marek (5 dni więzienia) a ks. Renikego na 200 marek (20 dni więzienia). Górą cywilizacya niemiecka!

Dyktatura policyjna.

Pod tym znamiennym tytułem młodzież krakowska ogłosiła nader ciekawy komunikat, który świadczy, jak policya krakowska zaprawia się na wzorach moskiewskich. Przytaczamy tu zawarte w komunikacie fakty.

„W r. 1895 powstało w Krakowie „Zjednoczenie“, stowarzyszenie kształcącej się młodzieży postępowej, które poddało się pod opiekę policyi, nie senatu, bo tak musiano uczynić wówczas, po rozwiązaniu „Czytelni akademickiej.“ Rzecz naturalna, że stowarzyszenie wykluczyło ze swego programu branie jakiegokolwiek udziału w agitacyi politycznej. Ponieważ było to wówczas w Krakowie jedyne stowarzyszenie, które miało charakter prawie wyłącznie akademicki, zapisała się do niego znaczna liczba młodzieży uniwersyteckiej. Od początku było rzeczą widoczną, że policya dąży do rozwiązania „Zjednoczenia“. Po wyczerpaniu innych środków, chwycono się najniebezpieczniejszego, który miał na celu wprost zniszczenie stowarzyszenia. Ktokolwiek z byłych członków „Zjednoczenia“ ubiegał się o posadę rządową, otrzymywał odpowiedź odmowną.

Ten sam los spotykał tych wszystkich, których wydziały uniwersyteckie zatwierdziły na posadach asystentów, demonstrantów itd. Było w tem coś z posępnej humorystyki, że nie oszczędzano ani tych, którzy czemprędzej wypisywali się ze „Zjednoczenia“, ani tych, którzy przed krucyfiksem wyrzekali się wszelkiej „postępowości“ i zapewniali, że byli i będą „porządni“, nawet w policyjnem tego słowa znaczeniu. Dyktatura policyjna kładła żelazną rękę na każdym bez wyjątku.

I tak w ciągu dwóch lat, zebrał się szereg faktów, które podajemy do publicznej wiadomości: *)

A... z zawodu bakteryolog i fizyolog, był prezesem „Zjednoczenia“ w r. 1895/6. Prócz tego nigdy w pracy publicznej nie brał udziału. Od r. 1896 nie należy do „Zjedn.“ i zachowuje się zupełnie biernie. Dwukrotnie odmówiono jego prośbie o nadanie mu praw obywatela austryackiego. Jako motyw dyrektor policyi w Krakowie, Korotkiewicz, podał należenie do „Zjednoczenia“ i zasady socyalno-demokratyczne. Kiedy drugim razem podawał się na Śląsk, ażeby łatwiej otrzymać poddaństwo, policya krakowska dała mu dobre pod wszystkimi względami świadectwo, zaopatrzywszy je tylko charakterystycznym dopiskiem: *„nur bekannt als Anhänger der socialdemokratischen Partei“*. Przedstawiony przez wydział lekarski, jako kandydat na asystenta przy zakładzie fizyologii, pełnił przez kilka miesięcy swe obowiązki ku zupełnemu zadowoleniu profesora, poczem musiał posadę opuścić. Wprawdzie nie miał w owym czasie doktoratu i poddaństwa austryackiego, lecz uwzględniwszy, iż z jednej strony policya dała mu złe świadectwo, a z drugiej, iż obecny asystent przy zakładzie fizyologii, również nie mając doktoratu i poddaństwa austryackiego, został zatwierdzony, musimy przyjąć, iż przy odrzuceniu odgrywały rolę pobudki natury politycznej.

B... został mianowany przez wydział lekarski demonstratorem przy zakładzie fizyologii. Po pięciu miesiącach wydział lekarski otrzymał z namiestnictwa reskrypt, w którym pana B. na posadzie nie zatwierdzono, pole-

---

*) Zamiast nazwisk umieszczamy po kolei jedną z liter alfabetu, które z nazwiskami nie stoją w żadnym związku. Nie ogłaszając publicznie nazwisk, kierujemy się zrozumiałą, w tym wypadku nawet konieczną dyskrecyą. W razie potrzeby, zobowiązujemy się służyć pełnemi nazwiskami.

cono wstrzymać mu stypendyum i wyznaczono na przyszłość dyrektywę, że „przy ustanawianiu asystentów i demonstrantów należy zwracać dokładnie uwagę nietylko na moralne prowadzenie się kandydatów, ale także na ich zachowanie się jako obywateli kraju.“

C... jeden z najzdolniejszych uczniów krakowskiego uniwersytetu, były członek „Zjednoczenia“, na podanie wniesione w sprawie suplentury, otrzymał odpowiedź, że sprawa jego będzie rozpatrywana, skoro uzyska poddaństwo“. Zwracamy uwagę, że inni z Królestwa otrzymali posady suplentów bez poddaństwa.

D... socyalistą nie jest, w „Zjedn.“ był prawie nieznany. Rada szkolna nie zatwierdziła go na prowizorycznej posadzie nauczyciela gimnastyki w szkole realnej.

Dyrektor usunięcie p. D. tłómaczył uczniom jego chorobą, co było tem komiczniejsze, że D. mieszkał naprzeciw szkoły i uczniowie mogli codziennie oglądać go w najlepszem zdrowiu.

Suplenturę otrzymał po solennem wyparciu się wszelkiego radykalizmu. Kiedy w roku ubiegłym spalił przy egzaminie gimnazyalistę hr. B., rozeszła się pogłoska, że jest „jeszcze zawsze“ socyalistą i z tego powodu (co w prywatnej rozmowie potwierdził jeden z inspektorów szkolnych) przeniesiono go na prowincyę. Posady tej nie przyjął i dopiero za osobistą interwencyą tegoż inspektora otrzymał inną w Podgórzu.

Gdzie prowadzi taka polityka Rady szkolnej i jak wpływa ona na młodzież, świadczą najlepiej autentyczne słowa pewnego ucznia:

„A wie pan, dlaczego belfra D. przenieśli na prowincyę? bo on jest socyalistą i dał hrabiemu B. dwójkę. Ja panu powiem jeszcze coś gorszego, on jest nawet synem chłopa“.

E... był dwa razy polecony przez wydział lekarski na demonstratora przy katedrze fizyologii i dwa razy odrzuciło go ministerstwo, odmawiając nawet remuneracyi za poprzednio sprawowane obowiązki. Wtedy udał się na policyę, gdzie wywiązała się między nim a dyrektorem Korotkiewiczem zajmująca rozmowa. Dyrektor K. otrzymawszy na zapytanie, czy p. E. nic sumienie nie wyrzuca, kategoryczną odpowiedź, że sumienie jego jest w stanie zupełnego spokoju, wytoczył po kolei działa: branie udziału w przedwyborczych zebraniach „Bratniej pomocy“ (!), należenie do „Zjedn.“, wreszcie sprawowanie godności kontrolera w „Ruchu“. (Fikcyjne stowarzyszenie „Ruch“ nie istniało nigdy). Na ostatni zarzut E. odpowiedział, że przy fikcyjnem konstytuowaniu się „Ruchu“ był nieobecny i wybrano go bez jego wiedzy. Wtedy otrzymał klasyczną odpowiedź: „Powinieneś pan był przyjść do mnie i powiedzieć mi, że nie chcesz być kontrolerem.“ (!!!)

E... były prezes „Zjedn.“ (po za tem w życiu publicznem nie brał udziału) wniósł podanie do namiestnictwa o przyznanie mu obywatelstwa austryackiego. Odpowiedź namiestnictwa zaznaczała, że „wtedy weźmie pod rozwagę jego podanie, kiedy wykaże się dyplomem, dającym prawo praktyki i jak przez dłuższy (raz podkreślono) i wszechstronnie legalny (dwa razy podkreślono) swój pobyt w Galicyi, da rękojmię, że prośba jego zasługuje na uwzględnienie“. (W podaniu, które F. wysłał do namiestnictwa było uwidocznione, że powrót jego do Królestwa jest niemożliwy ze względów religijnych).

Ten sam, przyjęty na nadzwyczajnego słuchacza medycyny, otrzymał od ministerstwa zwolnienie od składania egzaminów wstępnych na zasadzie złożenia takowych w Warszawie i pozwolenia składania pierwszego rygorozum z końcem zimowego półrocza 1896/7. Na zasadzie tego wniósł do ministerstwa w grudniu podanie, „gorąco poparte“ przez wydział: 1) o zaliczenie dwóch lat z trzech, przepędzonych na uniwersytecie warszawskim, oraz trzech na uniwersytecie krakowskim i 2) o wydanie absolutoryum z końcem zimowego półrocza 1898/9.

W kwietniu 1899 r. przyszła odpowiedź odmowna z następującym dodatkiem od ministerstwa do wydziału: „Ministerstwo wyraża zdziwienie, jak wydział mógł popierać podanie p. F., który w czasie swego pobytu w Krakowie dał tylokrotnie sposobność do niekorzystnych o nim spostrzeżeń“. Nawet profesorowie, stojący po za wydziałem lekarskim, wyrażali swe oburzenie z powodu odpowiedzi ministra, jak również niereagowania wydziału.

Dyrektor Korotkiewicz w rozmowie z p. F. wymienił fakty, na zasadzie których ministerstwo odrzuciło jego podanie: „dygnitarstwo“ w Zj., oraz rzekomy udział w zredagowaniu listu otwartego do prof. Korczyńskiego. Nadto Korotkiewicz zaręczył mu „szyją“, że teraz poddaństwa nie dostanie. Na zapytanie p, F., dlaczego go nie wyrzucają z Galicyi, skoro jest tak niebezpieczny, odpowiedź brzmiała: „Właściwie tutaj byłoby więcej takich, którzyby się nadawali do poproszenia o opuszczenie Galicyi, ale stamtąd ich wyrzucono, oni tu przyjechali, gdybyśmy i my ich wyrzucili, powstałby hałas...“

I tak dalej, i tak dalej.

Dodajmy, że istnieje okólnik ministerstwa za sprawą władz galicyjskich, aby nie przyjmowano na uniwersytety galicyjskie akademików, relegowanych za strejk warszawski, że jest takich kilku, których pomimo wszystkich potrzebnych papierów nie przyjęto na uniwersytet krakowski, podczas gdy na innych uniwersytetach n. p. w Pradze nie czyniono im żadnych trudności; dołączmy i to, że akademicy z Królestwa, którzy zgłaszają się na uniwersytet krakowski, muszą z góry oświadczyć, czy są socyalistami, czy nie; przypomnijmy wreszcie znaną ogółowi sprawę usunięcia z katedry prof. Baudouina de Courtenay, a będziemy mieli ramy przepysznego, prawdziwie „naszego“ obrazu.

Ale są jeszcze rzeczy, o których dotychczas nie wspomnieliśmy, bo wychodzą po za wszelkie, najbardziej rozciągające się ramy i poprostu niema na nie wyrazu. Oto krakowska policya nakłania akademików, szukających zajęcia, aby za 40 złr. miesięcznie — w jej słowniku „składali sprawozdanie,“ w naszym sprzedawali swoich kolegów!!

„Powstałby hałas“. W tych dwóch słowach policyjnego urzędnika jest dyrektywa dla społeczeństwa, co ma ze sprawą zrobić. Młodzież krakowska ujęła ją w swe ręce i mamy dane, że poprowadzi ją energicznie. Potężny hałas oburzonej opinii publicznej powinien przeszkodzić polityce, która wlecze za sobą presyę i denuncyacyę z jednej strony, obłudę i serwilizm — z drugiej. Miejmy nadzieję, że z tego hałasu atmosfera naszego publicznego życia wyjdzie o jeden stopień świeższa i czystsza.

POKWITOWANIE.

Z zaboru rosyjskiego . . .	31 złr.	89 ct.
Koleż. S. W	1 „	50 „
Na wiecu techników . . .	5 „	70 „

Odpowiedzi od Redakcyi.

Br. L. Artykuł o Chopinie nie nadaje się do „Promienia“.

A. R. Myśl art. p. t.: Proletaryat a szowinizm narodowy dobra; argumentacya słaba i niewyczerpująca.

Z. Ł. Lwów. Art. zbyt obszerny, sprawę nieraz już poruszaliśmy.

El-Zet. Drukować nie możemy.

Ślązaczka. Za wyrazy uznania serdeczne dzięki.

J. Motor, Kijów. Z artykułu prawdopodobnie skorzystamy.

Od Redakcyi.

Dokończenie artykułów „Internaty w Królestwie Polskiem“ i o „Literaturze ukraińskiej“ umieścimy w N-rze Styczniowym.

Wydawca: **Władysław Wolski.** Odpow. redaktor: **Aleksander Wieleżyński.**

Z Drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie, pod zarządem Z. Hałacińskiego.